AJ



Nr. 5 29 STYCZNIA 1939 CENA 40 GROSZY ★ DAMA Z ORCHIDEĄ GALE PAGE ARTYSTKA FILMOWA

Rozmowa przy księżycu

ZE WSPOMNIEŃ O STANISŁAWIE WYSPIAŃSKIM

ANTONI WYSOCKI

Mieszkał w Krakowie naprzeciw kościoła Panny Marji, w sąsiedztwie kościoła świętej Barbary. W pokoju słychać było dźwięk dzwonów, a przy otwartem oknie, podczas nabożeństw odprawianych w kościołach, dźwięki organów.

Pokój spory, przestrzenny, na pierwszy rzut oka robił wrażenie chaotyczne. Na podłodze i po kątach kłębiły się w poniewierce bezładne sterty papierów ze szkicami, rysowanymi węglem i pastelowemi kredkami.

Wszystko zaczęte, nieskończone, „w stanie tworzenia", tak jak i liczne, drobne, przywiezione z Paryża, kopje z galerji Luwru, szło od czasu do czasu na śmiecie, a w zimie służyło do podpalania w piecu.

Więcej zabezpieczoną przyszłość miały kartony, bez ram, przymocowane do ścian gwoździkami, wyobrażające postacie greckich bohaterów, aniołów, królów, senatorów, skrzydlatych husarzów i kwiaty, rysowane nie z natury, ale stylizowane na wzorach liści i kwiatów szkolnego podręcznika botaniki. Szkice witrażów, Kazimierz Wielki, Henryk Lignicki, święty Stanisław. Wśród nich witraż ze świętą Salomeą, upuszczającą z rąk słomianą koronę, rysowany węglem.

Witraże te, zapełniały ściany nie równocześnie, kolejno, poczem zwinięte w rulon, co je dosadnie uszkadzało, zjeżdżały ze ścian w kąt lub pod łóżko.

Nie oblekły się w kształt bardziej materjalny, w szkło i ołów. Tak jak i witraże zamówione przez księcia Zdzisława Czartoryskiego ze Starego Sielca w Wielkopolsce do, budowanego na wsi, kościoła świętej Elżbiety. Zamówione, miały być zapłacone. Cóż, kiedy Wyspiański zaprojektował pierwszy witraż z Ewą, matką rodu ludzkiego, w tak traktowanej nagości, że wedle zdania krakowskich doradców księcia, nie nadawał się do prostodusznego kościółka na wsi.

Już to malarz, jak na co, ale na zbytek uznania dla siebie, nie mógł się skarżyć.

Józef Chełmoński, najwspanialszy polski realista, gdy jako prezes stowarzyszenia „Sztuka" przyjechał z Warszawy na otwarcie wystawy, patrzył ze zgrozą w oczach na „„Skarby Sezama" Wyspiańskiego, i zwierzył się poufnie Włodzimierzowi Tetmajerowi.

— Dwaj są w Polsce malarze. Ja i ty, a ten Wyspiański to chyba japońska...

Także i pisarze starszego pokolenia nie wyznawali się w wartościach literackich dzieł poety. Nawet po „Weselu" Sienkiewicz powiedział, że „nie rozumie". Józef Weyssenhoff wyśmiał w kilku artykułach. A prof. St. Tarnowski, czy prof. Kaz. Morawski (do dziś to tajemnica) napisał parodję „Wesela". Nie łatwo pojąć dlaczego, ale nie ujmuje to nic z podziwu dla tych wielkich pisarzów i artystów.

Takie omyłki zdarzają się.

Voltaire żałował Szekspira, że nie zna reguł budowania tragedji i komedji. Śniadecki wykpiwał „Dziady" Mickiewicza.

Wyspiański czuł się wyższy ponad krytykę i kpiny. Miał się za jedynego w Polsce autora dramatycznego. Innych współczesnych, nie raczył zauważyć.

Książek miał niewiele.

Na półce z prostych deseczek, przewleczonych sznurkiem, tragedje Sofoklesa po francusku, lipskie wydanie Mickiewicza, ilustrowane roczniki krakowskie, kronika Wincentego Kadłubka, Mieszko Stary, prof. Smolki, Barzykowskiego Historja Powstania Listopadowego, Piekosińskiego Rycerstwo Wieków Średnich i francuskie studjum o Dancie.

Na stole niepolitorowanym, prostaczym, księgi Rastawieckiego „Wzory sztuki średniowiecznej" i Matejki „Ubiory w dawnej Polsce".

Taka była bibljoteka i stała lektura poety i malarza.

Pokaźnie przedstawiała się zasłona nad łóżkiem, baldachim, z taniej lustryny, karmazynowej barwy. Płomiennemi reflektorami oświetlała wnętrze pokoju.

Przy łóżku fotel.

Przyjemnie było siąść naprzeciw, ćmić papierosa i gawędzić.

Jednego razu rozmawialiśmy na temat psychologji warjata. Rozmowa przewlekła się do kawiarni i po samą noc na ulicę.

Wyspiański sprowadził rozmowę na grunt przykładów z literatury dramatycznej, w tym sensie, że psychologja warjata jest pojęciem równie paradoksalnem, jak honor i ambicje zbrodniarzów. Wyraził zdanie, że bohaterowie tragedji to obłąkańcy.

A zwykli ludzie?

Spytał:

— Czy wśród znajomych nie miał pan kogoś, co także?... Przecież pan?...

Muszę tu, mimo skromności, wspomnieć o sobie. Otóż pierwsza książka, którą „popełniłem" pierwszy grzech młodości, to był zbiór nowel pod tytułem „Dom zdrowia". Odwiedzałem znajomego, chorego umysłowo, w sanatorjum. Poznałem innych chorych i zaciekawiony ich urojeniami, zacząłem rozczytywać się w psychjatrji,, neurologji i „liznąłem" nieco z tej dziedziny wiedzy.

Poeta nie znał, ale coś słyszał o tej mojej książce o warjatach. Zresztą nie o to mu szło.

Obłąkanie zdeklarowane, myśli urywane i błędne, były niejako poza sferą zagadnienia. Choroba, przez brak konfliktu moralnego, nie wydawała mu się materjałem dramatycznym, gdyż, jak się wyraził:

— Na to niema rady.

Co innego dziwactwa.

— Więc może?...

Trzeba było poszperać w pamięci.

Rozmowa z Wyspiańskim miała zawsze dla mnie charakter celowy, wyłapywania szczegółów o cechach nadzwyczajnych i dążność twórczą, bo niespodziewanie wysnuwał z nich jakąś swą koncepcję teatralną i równocześnie, rzec można, reżyserował aktorami i akcją tej fikcji.

Gdy w piątej klasie gimnazjalnej koledzy jego szkolni, Rydel i Mehoffer, skleili szopkę betlejemską i z kolęd próbowali ułożyć jasełka, Wyspiański, współtowarzysz tej zabawy, póty zmieniał tekst kolęd i role marjonetek, aż zniecierpliwieni koledzy pokłócili się z nim i omal, że nie wyrzucili go za drzwi.

Później słuchano go już inaczej.

W ciągu kilku lat przebywania w jego towarzystwie, z niedającą się dziś wypowiedzieć rozkoszą, uczestniczyłem w tych fantastycznych z nim gawędach.

Tak i tego wieczoru, a raczej pogodnej letniej nocy.

Była godzina pierwsza, może druga.

Znużeni łażeniem po bruku, siedliśmy wśród pustych ulic, na placu Szczepańskim, na pustych ławkach przekupek krup i jarzyn.

Wyspiański przypatrywał się gromadzie domów, które z dali wy... do ściosów skał, albo tez... lasu. Patrzył tem charakter... rzeniem malarza, które odra... obraz na inny, własny.

Przypomniały mi się z przed lat ... spostrzeżenia, jak myślałem, interesujące.

— W moich stronach umarł pewien kawaler. Nie wielkie to w okolicy zrobiło wrażenie, bo był odludkiem. Podobno niegdyś, za młodu, światowiec i wojażer, naraz zamknął się na cztery spusty, zdziwaczał, zdziczał. Nie przyjmował i nie nawiedzał nikogo. Od lat.

— Od lat?

Właściwie powinienem był wyjaśnić powód tej zmiany usposobienia i sposobu życia, ale nie było mi nic z tego wiadome, a przytem inne tego czasu okoliczności miałem na myśli.

— W gospodarstwie wyręczał go jedyny jego domownik, coś pośredniego między rządcą a rezydentem. Pan Jan. Człowiek dziwnie nerwowy.

— Jak wieś nazywała się?

— Kalina.

— „Rosła kalina" — zadeklamował poeta. I tam ci dwaj?

— Dziedzic zmarł, a Jan, wierny famulus, po śmierci swego patrona, nie zmienił w niczem swego stosunku do ludzi. Nie wychylał nosa z poza obrębu gospodarstwa. Jakie to gospodarowanie było, przeważnie przez lufcik w oknie, szkoda mówić. W pustym domu nie sam przebywał, bo tak jak poprzednio w towarzystwie dziedzica, tak po jego śmierci z jego....

— Z jego duchem.

— Tak.

— Tak. Z przywidzeniem. Poprzednio za życia tamtego, całemi wieczorami grali z sobą w szachy.

— W szachy.

— Grali zapalczywie, nieprzytomnie. Można powiedzieć, że jedynym w ich osamotnieniu motywem ruchu była ta wieczorowa gra w szachy. Tak dalece, że temu, który został, śmierć nie odebrała partnera. Manja jego polegała na złudzeniu, że wszystko było po dawnemu. Do stołu kazał nakrywać na dwie osoby. Korespondencję, jak przedtem, podpisywał imieniem i nazwiskiem tamtego. Powoływał się w sprawach domowych na jego wolę, jak gdyby wciąż żywego i obecnego. „Pan tak kazał", „„pan będzie się gniewał", „nie wiem, co pan powie", były to jego stałe odpowiedzi i próżnoby mu było tłumaczyć ich bezsens. Pokiwa głową, uśmiechnie się i znów swoje. Siłą przyzwyczajenia widział zmarłego przy sobie każdej chwili, a od wieczoru grywał z nim w szachy. Rozstawiał figury na szachownicy i grał za dwóch. Gdyby kto podsłuchiwał, mógł był przysiąc, że to dwaj gracze rozgrywają partję. „Trochę mnie dziedzic wczoraj potłukł" — bajał głośno — „dziś może się odbiję? Co? Pan wieżą? Ja zastawiam się pionkiem. Teraz goniec? Dobrze, doskonale. Mój konik też nie od parady". I tak dalej. Całymi wieczorami.

— Był pan przy tem?

— Raz. Wtedy byłem studentem i w lecie, podczas feryj, czasem dla rozrywki jeździłem konno do miasta po pocztę. Przez grzeczność zatrzymywałem się w Kalinie i oddawałem listy.

— Skąd?

— Z Warszawy.

— Czy nikt w tej Kalinie więcej nie bywał? nikt obcy?

— Zdaje się, że nie.

— Nigdy.

— Tak dalece nie byłem obznajomiony z trybem życia obu samotników.

— Kto więcej był w domu?

— Prócz służby folwarcznej, mieszkając w czworakach, w domu kucharka i ogrodnik.

— Listy komu pan oddawał?

Dokończenie na str. 31-ej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300, 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 5 **Niedziela, 29 stycznia 1939** **Rok V**

ASY NUMERU 5-GO:



Fot. Wide World — Londyn.

Rzadko się zdarza, aby kilka członków rodziny grało równocześnie w filmie: nic też dziwnego, że cztery siostry Young, a mianowicie (od lewej) Georgiana, Sally Blane, sławna gwiazda ekranu Loretta i Dolly Ann wzbudzają pewnego rodzaju sensację, gdyż biorą udział w nakręcaniu jednego z filmów w Hollywood.

LENIWIE PŁYNĄ CHIŃSKIE RZEKI...



Dżonki

Mówiąc o Chinach musimy przedewszystkiem przestawić nasz europejski system wartościowania. Podziałka na naszym „wartościometrze“ używanym na kontynencie przez białego człowieka — zawodzi, gdy skalę tę pragnęlibyśmy odnieść do Chin. — Musimy zdewaluować wyśrubowane europejskie pojęcie czasu, życia i przestrzeni. W Chinach inaczej mierzy się te wartości. Czas płynie znacznie wolniej — procesy ewolucyjne mierzy się na tysiąclecia. Tam, gdzie u nas w Polsce dziś stoją wspaniałe miasta tętniące współczesnem życiem „oświeconej“ epoki XX-go wieku — 1.000 lat temu szumiała pierwotna puszcza. Jesteśmy młodzi, bardzo młodzi i okres dziesięciu wieków wydaje się nam czemś bardzo wielkiem i odległem.

W Chinach przed tysiącem lat w wielu prowincjach było bardzo podobnie jak w tej chwili. — Tysiąclecie nie dzieli tam chwili bieżącej od historycznego niebytu — lecz znaczy jedną z wielu epok historycznych starej cywilizacji chińskiej. To inne od europejskiego poczucie czasu wywiera wpływ znamienny na filozofję chińską i na mentalność przeciętnego człowieka. Ewolucje, dokonywujące się na niezmierzonych obszarach Chin, ewolucje obejmujące naród liczący przeszło 400 miljonów, nie mogą przebiegać szybko. — W Chinach na wszystko trzeba czasu. I na to, aby wyuczyć się tych kilku tysięcy najbardziej potrzebnych ideogramicznych znaków literowych — i na to, aby zawrzeć bliższą znajomość ze skomplikowaną religją ojców. — Pismo odgrywa w Chinach niezmiernie ważną rolę. Pozwala ono bowiem porozumieć się dwom Chińczykom np. z północy i południa, mówiącym zupełnie odmiennemi narzeczami Ponieważ znaki ideograficzne wyrażają pewne pojęcia, z chwilą kiedy Chińczyk z południa pendzelkiem wymaluje słowo ryż zrozumie ten znak każdy Chińczyk. Tem różnią się Chińczycy od Indusów, których jest równie pokaźna ilość na obszarach Indyj. Nie mogą się oni jednak ze sobą porozumieć: — rolę łącznika w Indjach zaczyna odgrywać dziwną ironją losu język angielski, a wszystkie pisma nacjonalistyczne indyjskie ukazują się właśnie w języku Kiplinga.

Na dewaluację wartości życia w Chinach wpłynęło wiele czynników. Populacja, nędza i religja odegrały w tym procesie rolę niepoślednią. Chińczycy mimo, że są tak starą rasą, mnożą się z żywiołową siłą, której pozazdrościćby im mógł niejeden z europejskich „dynamicznych“ narodów, rojących sny o potędze. Dla chłopa chińskiego dzieci są nie tylko siłą roboczą na roli — są jeszcze w dosłownem tego słowa znaczeniu żywym inwentarzem. — Władza rodzicielska jest absolutna. Ojciec odsprzedaje córki, a w myśl przepisów religji dzieci zobowiązane są nie tylko czcić, ale i pracować dla swych rodzicieli. Jak długo dziecko przebywa pod dachem rodziców nie może być podmiotem praw. Nic nie posiada, a wszystko co ma, co zarobi lub w jakikolwiek sposób wyprodukuje jest własnością ojca rodziny.

Nędza — jest matką chińskiego kulisa. Jest zarazem jego reklamowym szyldem. Gdy trzeba było kłaść szyny kolei żelaznej przez dzikie pustkowia Afryki, żaden robotnik nie był w stanie podołać tej pracy w morderczym upale, prócz chińskiego kulisa. Palaczami w Adenie — tem piekle świata — są Chińczycy. Próbne prace ko-



Nowoczesna Chinka ze swem dzieckiem.



W katolickim sierocińcu.

palniane na dalekiej północy, w najbliższem sąsiedztwie bieguna, przeprowadzić było można również dzięki chińskiemu kulisowi. Niema klimatu, któryby mógł go złamać. Najczarniejsza, najcięższa praca na świecie wykonywana jest przez robotnika chińskiego. Kawałek suszonej ryby i miseczka ryżu — to wszystko co jest mu potrzebne. Żelazna wytrzymałość, dokładność i uczciwość — oto cechy charakterystyczne tego pracownika.

Religja nie uczy Chińczyka lęku przed śmiercią. Wprost przeciwnie — mówi mu, że śmierć jest przejściem w krainę lepszą. Chińczyk nie zna piekła ani czyśca — śmierć chińska pozbawiona jest grozy. Gdy ojciec rodziny zachoruje, czuła żona względnie dzieci kupują pospiesznie piękną trumnę. Pokazują ją choremu, uwypuklając zalety tego makabrycznego rekwizytu. — Lecz właśnie śmierć pojmowana po chińsku nie jest makabryczną.

Te wszystkie momenty sprawiają, że wartość życia jednostki — jej „kurs giełdowy" — jeżeli wolno się tak wyrazić — jest w Chinach bardzo niski. Ludzi jest wiele.

Chińczyk od dziecka przyzwyczaja się do pojmowania zjawisk w tych gigantycznych chińskich wymiarach. Ma zazwyczaj liczne rodzeństwo — wie, że Chiny obszarowo są olbrzymie. Wszystko odbywa się na wielką skalę. Przychodzi epidemja — mrą dziesiątki tysięcy i setki tysięcy — pali się całe wsie i miasta. Wylewa jedna z olbrzymich rzek — w mętnych falach powodzi znów giną setki tysięcy ludzi — całe prowincje dostają się pod wodę. Skonfrontowanie własnego biednego „ja" z tym apokaliptycznym scenarjuszem chińskiego losu uczy filozoficznej pokory..

Od dwóch przeszło lat ten ponury obraz chińskiej rzeczywistości wzbogacił się o jeszcze jedną klęskę elementarną, której na imię — wojna. Japończycy, którzy najszybciej z ludów Azji przyswoili sobie europejską cywilizację, zapragnęli skolonizować Chiny — uczynić je bazą dla swego przemysłu i rynkiem dla japońskiego handlu. Podbicie Chin — to w przyszłości fundament władztwa nad Azją.



Stogi chińskie posiadają niezwykłą postać.

Zdobycie Hankau stanowi pierwszy etap japońskiego programu. W chwili obecnej wszystkie ważniejsze linje kolejowe, drogi i rzeki w połowie Chin znajdują się w rękach okupantów. Efekt ten okupiony został krwawemi ofiarami. Ze strony chińskiej padło 2 miljony ludzi — Japończyków zaś poległo.. 50 tysięcy. Cyfry te mówią w pierwszej linji o przewadze technicznej wojsk japońskich, jak również o bezwzględności metod walki, stosowanych przez Japończyków, którzy nie wahali się bombardować otwartych, niebronionych miast.

Japończycy okazali się mistrzami w ofensywie. Wartość agresywna żołnierza japońskiego jest niezmiernie wysoka. Chińczycy natomiast w myśl tradycji obrali inną metodę, mianowicie biernej ofensywy.

Mutatis mutandis, możnaby przyrównać metodę chińską do planu gen. Puhla i pułkownika Klausewitza, wedle którego armje rosyjskie w kampanji 1812 roku cofały się aż za Moskwę, organizując bierny opór. Taka defensywa bywa czasami nader skuteczną.

Japoński premjer w swej mowie z dnia 22 grudnia ub. roku stwierdził, że nad Chinami powiał wiatr renesansu, który zapoczątkuje nową epokę kolaboracji chińsko-japońskiej. Książę Konoye był jednak wielkim optymistą. Mimo niewątpliwych sukcesów militarnych, warunki pokojowe japońskie są obecnie znacznie przystępniejsze i łagodniejsze, niż pół roku temu. Niemniej objektywizm każe stwierdzić, że na polu politycznem Japończycy na przestrzeni ostatnich 12-tu miesięcy nie osiągnęli żadnego sukcesu. Ani świetnemu „mandżurskiemu Lawrence'owi" Doihara ani hrabi Terauchi nie powiodło się pozyskać choćby jednego wybitniejszego Chińczyka do nowego rządu. Japońska akcja polityczna spotyka się wszędzie z biernym oporem. Nadzieje japońskie na generała Wu-Pei-Fu również się rozwiały, gdyż postawił on za warunek utworzenia „przyjaznego" Japonji rządu chińskiego, aby wszystkie armje japońskie wycofały się z Chin.

Dokończenie na str. 18-ej.

Twarde jest życie!

Wszystkie zdjęcia: Ks. Ignacy Wieczorek.





Gniazda pająka Clubione na źdźbłach traw.

OŚMIONOŻNI TKACZE

Może ktoś nie lubić pająków, a nawet się ich obawiać, ale nie może nie podziwiać ich artystycznych tkanin zwanych pajęczynami. Wysnute z delikatnego przędziwa, niby festony zwisają niekiedy z gałęzi drzew zwłaszcza szpilkowych, to znowu niby srebrzyste płachty rozpostarte na trawach połyskują w blaskach słońca, mieniąc się wieloma barwami, gdy pokryje je rosa. Zda się, że jakaś szczodra ręka rozsypała klejnoty po łące. Niekiedy w zacisznem miejscu wisi rozpięta delikatna sieć lub, jak to można zauważyć w jesieni, unoszą się w powietrzu pojedyncze nitki jako „babie lato".

Sieci pajęcze przedstawiają nadzwyczajną rozmaitość w sposobie utkania oraz kształcie jaki nadają im ich mistrzowie.

Jedne z nich są bardzo regularne o wyraźnych promieniach, dokoła których przebiega wielokrotnie spirala o okach luźnych, inne tworzą zbitą tkaninę, a nitki przędziwa przebiegają w różne strony. Jeszcze inne stanowią jakgdyby klosze, czy wreszcie hamaki zawieszone w bezpiecznem miejscu, poddające się działaniu wiatru. Pająki, które wiodą życie podziemne, tapetują pajęczyną ściany swego gniazda niby najlepsi tapicerzy.

Niektóre pająki prowadzą tryb życia osiadły i pozostają w pobliżu swych mieszkań, inne natomiast pędzą żywot „cygański". — Włóczą się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu zdobyczy. Jeszcze inne, niby rozbójnicy, napadają znienacka na nieprzeczuwające niebezpieczeństwo ofiary.

Przedstawicieli olbrzymiego i niezmiernie ciekawego świata pająków nie brak w lasach, na łąkach czy polach lub w pobliżu strumyków czy na powierzchni wody stawów, a nawet pod zwierciadłem wodnem.

Na jakim warsztacie i w jaki sposób snują pająki swe arcydzieła tkackie? Oto pytania, które nasuwają się przedewszystkiem. Weźmy pająka i pod silnem powiększeniem lupy oglądnijmy koniec jego odwłoka. Oto zobaczymy tam kilka brodawek przędnych zwanych kądziołkami. One to stanowią cały warsztat tkacki pająka. Brodawek tych jest od 2—8, a u dobrze znanego pająka krzyżaka, który nazwę swą wziął od wyraźnego rysunku krzyża na ciemnem tle odwłoka, jest ich 6, przyczem nie wszystkie są zupełnie jednakowe. Kądziołki posiadają kształt ściętych stożków, które na swym wierzchołku mają jakgdyby siteczko z licznymi drobniutkimi otworkami. Otworki te stanowią wyloty cieniutkich rureczek, których liczba u pająka krzyżaka dochodzi do kilkuset, podczas gdy u innych pająków jest ich kilkadziesiąt lub nawet tylko kilkanaście. Rureczki te ułożone są gęsto, jedna obok drugiej. Każda z nich posiada u swej podstawy pierścień, który przez skurcz i rozskurcz reguluje wypływ delikatnej cieczy, stygnącej na powietrzu jako nić pajęcza. Pająki mogą snuć przędziwo dowolnie ze wszystkich swych kądziołków lub tylko z niektórych. Pojedynczą niteczkę delikatnej pajęczyny można porównać z liną, utworzoną z licznych sznurków. Składa się ona z tylu drobniutkich niteczek, ile jest otworków odpowiednich rurek. Nitka pojedyncza złożona z wielu niteczek jest mimo wszystko bardzo delikatna. Grubość jej wynosi 0,005 mm, niemniej jednak jest mocna i elastyczna. Pojedyncze niteczki zczesuje pająk w jedną grzebykowatymi pazurkami, które stanowią zakończenie jego nóg.



Pająk krzyżak omotał w kilku sekundach pszczołę, która zaplątała się w jego sieci.
Fot. Jacques Boyer.



Oto jeden z pająków skaczących, który napada na muchy lub inne owady.

W jakiż sposób zakłada pająk swą sieć? Oto np. krzyżak między gałęziami drzewa lub między krzakami czy też słupami snuje osnowę czyli ramę w kształcie wieloboku, a następnie zakłada promienie, które biegną ze środka, niby szprychy w kole. Najwięcej trudu kosztuje go przeprowadzenie spirali, biegnącej wielokrotnie dookoła środka. Podczas gdy promienie stanowią nitki suche, spirala utworzona jest z nitek lepkich. Gdy już sieć zostanie wykończona, pająk sprawdza jej trwałość oraz dobroć budowy, zupełnie jak zawodowy architekt. Przednimi nóżkami, na których mieszczą się narzędzia czucia, bada pająk wytrzymałość sieci, dotyka promieni, szuka błędów i uzupełnia ewentualne braki

Sieci spełniają w życiu pająków bardzo różnorodne zadania. Przeważnie służą one do chwytania zdobyczy, którą najczęściej stanowią drobne muchy lub komary. Są jednak i takie pająki, które chwytają nie tylko większe owady, ale nawet i jadowite, jak np. pospolite osy lub największe i najgroźniejsze z pośród nich — szerszenie, nie mówiąc już o amerykańskim ptaszniku, któremu przypisują nawet zdolność rzucania się na małe ptaszki, skąd też zresztą poszła i jego nazwa.

Pająk rzadko kiedy przebywa na swej sieci, zwykle znajduje się on w dobrze ukrytej czatowni, a o zjawieniu się zdobyczy zostaje powiadomiony odpowiednim sygnałem. Z sieci do jego kryjówki przeprowadzony jest jakgdyby telefon w postaci nici sygnałowej. Gdy mucha zapiącze się w lepkie nici sieci, usiłuje wydobyć się z matni i wykonuje gwałtowne ruchy. Niekiedy udaje się jej zerwać krępujące ją pęta i umknąć wrogowi, ale najczęściej pająk zaalarmowany wybiega szybko ze swej kryjówki i rzuca się na zdobycz, w której ciele zatapia swe ostre szczękoróżki, wlewając równocześnie do ranki jad, wypływający z gruczołu jadowego. Często obejmuje pająk muchę nóżkami i obracając ją szybko, owija niby płachtą, wydzielającą się obficie pajęczyną, aż obezwładniona zdobycz sprawia wrażenie mumji spowitej w śmiertelny całun. W tej postaci zostawia sobie pająk nieraz zdobycz na późniejszą ucztę.

Dokończenie na str. 18-ej.



Na prawo: Sieć pająka „Agelena labyrinthica" pokryta kropelkami rosy mieni się wspaniale tysiącem barw w blaskach słońca.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



W pierwszym rzędzie znaczek finlandzki, wydany z okazji 65-lecia Czerwonego Krzyża, — w drugim i trzecim rzędzie znaczki gdańskie, w środku na dole znaczek portugalski.

Gdańsk wydał ni stąd ni z owąd serję historyczną, złożoną z 4 znaczków, drukowanych heliograwurą. Nie można znaczkom tym odmówić oryginalności, a spokojne barwy (5 f. zielona), 10 f. (czerwono-brązowa), 15 f. (szaro-niebieska) i 25 f (purpurowa) utrzymują poważny nastrój, jednakowoż z polskiego punktu widzenia możemy się patrzyć na nie z uśmiechem pobłażania.

Każdy bowiem musi domyślać się, że ma to być odpowiedź na najlepiej może wykonany znaczek z polskiej serji jubileuszowej, przedstawiający fragment portu w Gdańsku, gdzie polski szlachcic i gdański kupiec dokonywują transakcji handlowej. Możemy tylko ze smutkiem stwierdzić, że błędna polityka minionych stuleci nie wyru-

Dokończenie na str. 18-tej.

DAWNE SZKŁA POLSKIE





Od lewej: Krążek szklany z r. 1596 z kościoła Panny Marji Szkaplerznej w Tarnowie. (Muz. Diecez. w Tarnowie). — Krążek z r. 1629 z wyobrażeniem św. Sebastjana z kościoła w Moszczenicy. (Muzeum ks. Czartoryskich).





Wilkom cechu mieczników krakowskich (Muzeum Narodowe w Krakowie).

Na prawo: Polskie puhary z XVIII w. (Muzeum Narodowe w Krakowie).



Polski przemysł artystyczny szczyci się posiadaniem bogato rozwiniętego i ciekawego przemysłu szklarskiego już w wiekach średnich. Niewiele jednak zabytków z tej dziedziny sztuki przechowało się, to też wdzięczność należy się historykom sztuki Kazimierzowi Buczkowskiemu i Witołdowi Skórczewskiemu za utrwalenie w doskonałej naukokowej pracy tych wadomości, jakie w obecnej chwili posiadamy o wyrobach ze szkła w dawnej Polsce, w pracy wydanej p. t. „Dawne szkła polskie", skąd czerpiemy treść oraz ilustracje.

Wiemy, iż już w XIII-ym wieku istniała w Poznaniu huta szklana. — W r. 1327 biskup poznański Jan, zezwala „vitreatorowi" Ticzkonowi postawić hutę na nowo pod warunkiem, „aby nietylko stare szyby dał w kościele katedralnym, lecz również i nowe, i ilekroć będzie potrzeba, za wynagrodzeniem ze szkła swego dawał". Dopiero w XVI-tym wieku rozwija się hutnictwo w Polsce: powstało wówczas około 30 hut szklanych. Istniały one w Poznańskiem, Wileńskiem, w Pabjanicach, lecz najgęściej usiane były w woj. krakowskiem, wzdłuż granicy śląskiej. Szkło było w owych czasach kosztowne, czego dowodem rozporządzenie Rady miejskiej Krakowa w r. 1561, nakazujące przekupniom, sprzedającym naczynia szklane, „zbierać czerepy zbitych naczyń i wysyłać je do huty, a dostarczone wzamian za to naczynia — równo rozdzielać". Jedną z największych hut szklanych założono w Trzebuni pod Myślenicami. W niej wykonywano w XVII wieku rocznie 11.000 szyb, 80 tuzinów puharów, 240 flaszek i 60 malowanych szkieł.

Akty archiwalne wykazują, iż pomiędzy nazwiskami vitreatorów krakowskich wiele było nazwisk polskich. — Szklarze posiadali swój cech z r. 1490 i mieli swe godło, wyobrażone na pieczęci z r. 1602. Ciekawym szczegółem w godle krakowskich szklarzy jest narzędzie z diamentem do rżnięcia szkła. Świadczy to, iż szklarze krakowscy nietylko posługiwali się w XV wieku diamentem do krajania szkła, lecz również do rysowania na niem.

Najstarszą zapiską z tej dziedziny jest archiwalna wiadomość z r. 1379, iż niejaki Mikołaj vitreator z Krakowa „otrzymuje w tym roku za szyby do 5 okien w wielkiej sali zamku krakowskiego, aż 7 grzywien". Według zdania autorów, świadczyłoby to, że chodziło o zamówienie witraży z powodu wymienionej wysokiej ceny. Szklarze krakowscy poza wprawianiem szyb, zajmowali się również malowaniem ich i naczyń. Świadczy o tem przepis cechowy, który przytaczamy w dosłownem brzmieniu: „Pierwszy iest ktory mistrzem ostac chcze bedzieli miedzy malarzami szkłarzami albo goldslagerami ten się napierwey w Cechu opowiedzieć, ktemu też dwie lecie u jednego mistrza robić ma, y każdy mistrz stuk albo rzemiosła swoje dokazać ma, jako iest obraz Panny Mariey zdzieciątkiem, wtore crucifix, trzecie Jerzego swietego na koniu,

ktore sztuki mistrzowie oglądać maią iesly on jest biegły wnauce swoiey".

Podobnie jak na Zachodzie, istniała w Krakowie współpraca artystów malarzy ze szklarzami; tem tłumaczyć możemy możność powstawania pięknych witraży w Krakowie. Stanisław Wyspiański, przeprowadzając odnowienie witraży w kościele OO. Dominikanów w Krakowie, mówi o nich, że są „szlachetne, wzorowe i w cudnym stylu". W muzeach krakowskich posiadamy cenne zabytki nietylko witrażyków herbowych, lecz również krążków, malowanych farbami emaljowanemi. Również dochowały się licznie piękne szklanice cechowe, zwane wilkomami, z których pięknością odznaczają się 2 wilkomy cechu mieczników i kapeluszników. Wilkom cechu mieczników posiada piękny kolor zielony z rozwiniętą bogato jego gamą. Wilkom ów pochodzi z końca XVII wieku. Namalowanie na nim Patrona Polski św. Florjana stoi zapewne w związku z postawieniem w r. 1677 nowego kościoła św. Florjana w Krakowie. Na wilkomach krakowskich spotykamy charakterystyczne cechy — ozdobę u góry ornamentem o linji falistej i rozszerzoną, karbowaną krawędź



Witrażyk z XV w. z herbem Kościesza (Muzeum Narodowe w Krakowie).

dolną. Poza Krakowem i Sandomierzem rozwijało się również w Poznaniu malarstwo na szkle, czego dowodem wilkom cechu szewskiego, znajdujący się w muzeum im. Mielżyńskich. Na spodzie tego pięknego naczynia umieszczono napis: „Kto z tej sklenicy pic bendzie, dai Boże żebi buti robił do sta lat!" — Poza tem napis: Anno Domini 1651. Za powstaniem tego wilkomu w Poznaniu przemawia falista krawędź dolna, polski bezbłędny napis i swojski charakter. Również w Warszawie, Wilnie i w Toruniu rozwijała się sztuka malowania na szkle i wyrób użytkowego szkła. Na podstawie wykopalisk z ostatnich lat stwierdzić można, że pod wpływem obcej produkcji założone w Polsce huty wytwarzały zrazu przedmioty według obcych wzorów, lecz z biegiem czasu przedmioty owe nabywały odrębnego swoistego charakteru, zwłaszcza w epoce XVIIIgo wieku, kiedy to kieliszki i szklanice stały się przedmiotem pierwszej potrzeby. Wykonano wtedy liczne puhary, zdobne różną farbą i posiadające wykwintne kształty i szlachętną cienkość ścian.

Posiadane zabytki z tej dziedziny jak i nowe ich wykopaliska świadczą dodatnio o smaku i naszej dawnej kulturze.

M. Dienstl-Dąbrowa.

FUTRO

C. A. DANSON SCOTT

PRZEKŁAD Z ANG. HELENY HELLERÓWNY

Jedzenie i napoje były wyśmienite. Początkowo sąsiadka przy stole wydawała się Cyrylowi Johnstonowi banalna, ale stopniowo doszedł do przekonania, że posiada ona wiele zalet. Nie była wprawdzie młodziutka, lecz wino zaróżowiło jej policzki tak, że wyglądała o wiele ładniej, niż dotychczas. Niebawem uświadomił sobie, że nie ma pojęcia o tem, że on jest redaktorem dziennika. Uspokoiło go to, gdyż poczynił już najrozmaitsze doświadczenia z sąsiadkami, które zajmowały się literaturą. Zapytał ją więc, co robi, czy może maluje, lub ma jakieś inne zamiłowania.

Zbladła i szepnęła nieśmiało:

— Mój mąż jest artystą...

— I uważa pani, że jeden artysta w rodzinie, to już dosyć?

Śledząc jej nieśmiałe spojrzenie, ujrzał mężczyznę o brutalnym wyglądzie. A więc to był Filip Silver! Dziwne, że ożenił się z tą najwidoczniej tak wrażliwą kobietą.

— A może pani pisze?

Nie zaprzeczyła.

— Ale jeszcze nigdy niczego nie wydałam!

— I nie próbowała pani nawet zwrócić się do czasopism?

— Nie.

— W takim razie proszę mi kiedyś przesłać swe utwory.

Uśmiechnęła się doń radośnie.

— Jestem wydawcą „Najnowszych Wiadomości" Nie mogę pani oczywiście przyrzec, że jej prace wydrukuję, ale spodziewam się, że będę mógł coś dla pani zrobić. Proszę wyszukać sobie jakiś pseudonim. Może Carmen? No, zobaczymy... — zakończył.

* * *

Wkrótce zaczęły się ukazywać artykuły, podpisane „Carmen". Jeden z nich poświęcony był Filipowi Silverowi. Artysta, niezwykle ożywiony, przybył do domu z egzemplarzem „Najnowszych Wiadomości" w ręku.

— Co za świetna krytyka mej twórczości, Iris — oświadczył swej żonie. — Przeczytam ci!

Siedziała przy kominku, cerowała skarpetki męża i wyglądała jak typowa „kura domowa".

— Proszę...

— Kto to mógł napisać? — powiedział, ukończywszy czytanie. Iris pochyliła głowę nad robotą.

— Ta kobieta... ta „Carmen" wie czego chce i posiada świetny styl — rzekł. — Musi to być niezwykle ciekawa kobieta... Chciałbym ją poznać.

Iris zwijała parę skarpetek, które skończyła właśnie cerować.

— Mam wrażenie, że jest taka, jak ja... że przez całe życie zadowalała się rolą słuchaczki.

Popatrzył na nią z uśmiechem politowania:

— Nie potrafiłabyś nigdy napisać takiego artykułu, biedne dziecko! Ta kobieta, to wybitna indywidualność. Prawdopodobnie nie jest ona już pierwszej młodości i posiada wiele doświadczenia życiowego.

Iris zabrała pończochy i wyszła z pokoju, nie odpowiedziawszy słowa. Czuła się obrażona i upokorzona. Mąż nie znał jej, ani nie rozumiał. Nie zadał sobie ani trochę trudu, aby poznać ją w czasie ich długoletniego pożycia małżeńskiego. Była dla niego dobrą gospodynią, niczem więcej.

Minęło kilka dni. A potem pewnego ranka przesłano jej z redakcji „Najnowszych Wiadomości" pismo, przeznaczone dla „Carmen". Poznała odrazu po charakterze pisma, że był to list od jej męża. Przez chwilę była zdumiona, zapomniawszy, że to ona była „Carmeną". Mąż nie wspominał jej o zamiarze napisania do „Carmen", no, ale nie było w tem nic dziwnego, że chciał podziękować anonimowej autorce za krytykę swych dzieł. A jednak ręce jej drżały, gdy otwierała kopertę. Jak się tego spodziewała, w liście mąż jej wyrażał wdzięczność za życzliwe ustosunkowanie się do jego twórczości. Równocześnie pytał, czy nie zechciałaby obejrzeć w jego pracowni obrazów, dotąd nigdzie nie wystawianych. Postanowiła odpowiedzieć na ten list. Uśmiechała się przytem, wyglądając z tym uśmiechem znacznie młodziej. Następnego dnia napisała na maszynie list do swego męża, w którym okazała wiele zainteresowania dla jego dzieł, lecz donosiła, że z zaproszenia nie skorzysta. Gdy odpowiedział natychmiast i ponowił zaproszenie w słowach pełnych zapału, wahała się, co odpisać, gdyż w liście było coś, co wzbudzało jej zazdrość. Wkońcu napisała jednak długi list, który Filip określił w dalszej korespondencji jako niezwykle mądry, ciekawy i oryginalny, prosząc równocześnie o jej fotografję. Wyrażał nadzieję, że „Carmen" zechce się z nim osobiście poznać. Malował on obecnie nowy obraz, który nazwał „Tajemnicza kobieta", a Iris uśmiechnęła się, gdy jej wyjawił ten tytuł. Gdyby on wiedział...

Jakiś bogacz, któremu się ten obraz spodobał, chciał go nabyć za wielką sumę, lecz Filip oświadczył, że tej pracy nie sprzeda. Iris dowiedziała się o tem i znów się uśmiechnęła.

Pewnego dnia w grudniu, gdy rozpoczęły się mrozy, zwróciła się Iris do męża: „Filipie, już najwyższy czas, byś mi kupił nowe futro. Stare jest już doprawdy nie do noszenia!

— Nowe futro?

— Widziałam śliczne u Percy'ego przy ulicy Oxford. Jest na wystawie. Czarne... śliczne!

Iris była zazdrosna o korespondującego z nią mężczyznę, pragnęła wydawać mu się ładną i elegancką i dlatego chciała mieć koniecznie to futro. Wszak Iris była kobietą!

Ale on potrząsnął przecząco głową.

Poco miałby wydawać pieniądze, otrzymane za swój ostatni obraz, na futro dla Iris? Pomyślał, że może użyć honorarjum na jakiś lepszy cel.

— Nie pojmuję, czemu chcesz mieć nagle koniecznie nowe futro! Wyglądasz przecie jeszcze wcale dobrze w starem, a nie powodzi nam się wcale tak świetnie, ażebyś musiała mieć wszystko, co najmodniejsze! Nie, moja kochana, noś jeszcze tej zimy swoje futro, a jeśli w przyszłym roku sprzedam kilka obrazów...

Tego wieczora „Carmen" otrzymała list „expres" i Filip błagał ją, ażeby zgodziła się raz, chociaż jedyny raz, zjeść z nim obiad. Iris była oburzona. Jej niewinna intryga przybierała rozmiary, które ją niezmiernie irytowały. Co za dziwnym tonem pisał jej mąż!

Odpowiedziała, że nie może absolutnie przyjąć uprzejmego zaproszenia. Skłamała, że pochodzi z Południa i dlatego jak najrzadziej wychodzi z domu, gdyż nie jest przyzwyczajona do londyńskiego klimatu i mogłaby się z łatwością przeziębić.

— Filip będzie rozczarowany i pomyśli, że „Carmen" jest jakąś chorowitą osobą — mówiła sobie z zadowoleniem, wrzucając list do skrzynki.

Nadto napisała mu, że wkrótce wyjeżdża do Francji i pożegnała się z nim w serdecznych słowach.

Odpowiedź nie dała na siebie długo czekać: „Oczekuję Panią w czwartek wieczór w restauracji „Cecil" i proszę włożyć to, co Pani przyślę!"

Zaledwie przeczytała list, zadzwoniono do niej z redakcji „Najnowszych Wiadomości". Oznajmiono jej, że w redakcji ktoś oddał dużą paczkę dla „Carmen". Poprosiła o przesłanie jej paczki, a gdy ją otworzyła...

Ujrzała sealskinowy płaszcz, który widziała na wystawie u Percyego i o którym opowiadała swemu mężowi. W milczeniu położyła futro na swem łóżku. Usłyszała otwierające się drzwi wejściowe. To Filip wrócił do domu.

Wyszła na jego spotkanie.

Ale on zaledwie się z nią przywitał i patrzył na nią z roztargnieniem.

— Czy zapomniałeś, że to dziś moje imieniny? — zapytała cicho.

— Nie... nie... oczywiście — rzekł obojętnie. — Wszyscy się starzejemy...

— Zapewne przyszedłeś po mnie, Filipie... Zjemy chyba kolację w jakimś lokalu?

— Bardzo mi przykro, ale umówiłem się już.

— Masz się z kimś spotkać w twoich sprawach?

— Czemu pytasz?

Brzmiało to nieco ostro. Położyła delikatnie rękę na jego ramieniu.

— Filu, kochany Filu, proszę cię, daj znać temu towarzystwu, że nie przyjdziesz!

— To niestety niemożliwe, gdyż dziś wieczór nadarza mi się ostatnia sposobność zobaczenia się z... tymi ludźmi.

Przysunęła się do niego blisko, bardzo blisko.

— Pozostań przy mnie, Filu — głos jej się załamał. To, co mówisz, nie może być prawdą!

Żachnął się:

Skinęła powoli głową.

— Tak, wiem, że kłamiesz.

Jego twarz stała się nagle trupio blada.

— Mniejsza z tem — powiedział ostro. — I tak pójdę.

Wiedziała, że jej życie jest złamane. Nastąpiła długa cisza.

— Futro leży na mojem łóżku — rzekła wreszcie cichym głosem. Nogi jej drżały, słowa wydobywały się z trudem z jej ust. — Ja byłam ową „Carmen", to ja pisałam te artykuły...

— Ty?

— Myślałam, że ci w ten sposób wykażę, iż jestem inna, niż sobie wyobrażałeś, że potrafię nie tylko być dobrą gospodynią i cerować skarpetki....

Spojrzał na nią zły i rozczarowany. Zrozumiała, że ten człowiek jej nie kocha i że napróżno usiłowała w ten sposób zdobyć jego miłość. Jego gniewny wzrok zranił głęboko jej duszę.

— Jakim ja byłem głupcem! — krzyczał. A potem odwrócił się i wybiegł z pokoju.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Nie ruszała się, stała jak nieprzytomna.

To... był koniec... wszystkiego...

W tejże chwili dał się słyszeć dzwonek telefonu.

Mechanicznie podeszła do aparatu i ujęła słuchawkę.

Był to miły głos redaktora „Najnowszych Wiadomości". Winszował jej, że jej ostatnie artykuły tak się udały i pytał...

Tak, pytał czy nie zechciałaby zjeść z nim kolacji — o ile oczywiście nie ma żadnych innych planów. Zapewniał, że ma dla niej nowe tematy, pragnie je omówić i...

Właściwie były to jej imieniny i Filip...

— Tak, przyjdę....

Poszła do swej sypialni.

Na łóżku leżało piękne, miękkie, upragnione futro sealskinowe, które mąż jej kupił dla innej, a o które ona tak go prosiła.

Przez chwilę wahała się, a potem włożyła futro i cicho, jakby lękała się kogoś zbudzić, wyszła z mieszkania...

W WILLI „POD ROZMARYNEM“
czyli: Zygmunt Nowakowski w szlafroku



Nowakowski... Ali i Baba.

Opadły mnie dwa dzikie spaniele, które jako przepustki domagały się pieszczot.

— Ali, Baba! — dochodzi z hallu znany dobrze całemu Krakowowi nosowy głos (ten słynny nos)...

— A kiedy czterdziestu zbójców?

— Proszę za rok!

— A teraz?... Muszę pana przecież „podać do gazet“...

— Jezus Marja, a cóż ja panu złego zrobiłem?... Niedawno już mnie publikowali na pierwszej stronie, kosztowało mnie to nerwów, kosztowało!... No, ale trudno, poddaję się, skoro już pan tak daleko zabrnął.

Daleko, bo daleko... ale Nowakowski wie, gdzie mieszkać. Laureat rozmarynu ma rezydencję w połowie drogi między Oleandrami a Kopcem Kościuszki...

Tymczasem łypię okiem na lewo i prawo:

— Mała willa, ale zato obdłużona — informuje Zygmunt Wspaniały...

— Coś, coś... Gałązka Rozmarynu tak obrodziła i z tego nie było nawet całej willi... Rozmaryn obrósł przecież chyba wszystkie teatry polskie...

— Z wyjątkiem Wielkopolski...

— A liczba przedstawień...

— Około pięćset — skromnie konstatuje Nowakowski.

— Bagatela!... Powiedzmy że każde przedstawienie odrzuciło choćby tę głupią setkę...

— Toby była cała willa... Zapóźno jednak o niej pomyślałem, a tymczasem większa część setek wsiąkła...

— W co?...

— W stosunki towarzyskie i do pewnego stopnia, nie chwaląc się, w piaski dobroczynności...

— Niech pan sobie pomyśli, że z powodu Gałązki wygrywano wszystkie możliwe znajomości i kontakty. Byli tacy, którzy żądali tylko dziesięć złotych, ale jeden domagał się pięciu tysięcy...

— Sam tego chciałeś, Zygmuncie Fafuło! Nie trzeba było kokainizować wszystkich stanów hasłem dokarmiania wiosny i trzech innych pór roku... Na panu się skrupiło, co się na innych mełło. Ale à propos dokarmiania wiosny, gdzie właściwie ta wiosna rozkwitła...

— W Trzęsówce, w powiecie kolbuszowskim...

— Ach, słyszałem, ta wieś...

— Tak, zapisana na hipotece niedzielnych feljetonów w I. K. C. A wie pan, udała mi się... Chłopi Trzęsówki mają charakter... Zupełnie inaczej niż mieszczanie Krakowa... Prawie nie było wypadku, żeby mnie naciągali... A przecież mają i prywatne zmartwienia... Temu krowa, temu dziecko... Ale honor nie pozwala...

— A jak tam idzie w tej Trzęsówce?

— Pierwsza klasa... Niech pan pomyśli: szkoła, ochronka, klub sportowy, bibljoteka 700-tomowa...

— Imponujące jak na polskie sioło.

— Teraz powstaje tam świetlica, wybrukowali dwa kilometry dobrej szosy... Niedawno zdobyłem dla nich sikawkę pożarną... Ileż więcej jednak ufundowali moi a Ikacowi czytelnicy... Ot, dopiero co fabryka Baty dała 20-cia par butów dla trzęsowskich dzieci. Jeszcze bardziej warto wspomnieć, że właścicielka folwarku w Trzęsówce ofiarowała 20 morgów ziemi pod szkołę... Wogóle muszę stwierdzić, że IKC to wspaniała tuba społeczna.



„Przylądek Dobrej Nadziei“ Z. Nowakowskiego wyszedł w tłumaczeniu holenderskiem, szwedzkiem i czeskiem, a oto okładki tych wydań.

— Ale, niech mi pan pozwoli rozejrzeć się w swojem własnem gospodarstwie. Chcę zobaczyć kuchnię i spiżarnię „kucharza doskonałego“.

— Proszę bardzo!

Wchodzę do pokoju, którego rzędy książek podpierają sufit, ale w wielkim rygorze i ordynku. Jak dalekie są tutaj wspomnienia cyganerji i tradycje chudego literata... W bibljotece jakiś młody człowiek gra na maszynie...

— Mój sekretarz...

— A!

— Bez niego wogółebym nie mógł pracować. Na samą korespondencję wydaję mie-

sięcznie przeszło 60 złotych... Sto złotych na telefony... (Istotnie stwierdzam, że telefon terczy co chwila)... A tymczasem, żeby wykonać choć część moich robót, muszę do godziny 3-ciej siedzieć kołkiem przy maszynie...

— Poszperam trochę, wśród książek, dobrze?... Boże, co za raj dla publicysty, czy literata... Te słowniki, te historje, te encyklopedje... te literatury...

— Nie wyobrażam sobie porządnej pracy bez Lindego, Karłowicza, Dudena (znana niemiecka encyklopedja rzeczowa), bez encyklopedji „Wiedza i Życie" (wydawanej obecnie przez „Książnicę-Atlas")...

— Musi być dużo tych dzieł...

— Trzy tysiące... w dodatku skatalogowane...

Przez zazdrość już wogóle nic nie mówię...

— A tu pokażę panu coś interesującego: komplet dzieł Sławoja Składkowskiego z jego osobistą dedykacją...

— Pan tu pracuje, w bibljotece?

— Nie, w przyległym gabinecie.

Przenosimy się do tego gabinetu, którego fotelowe czołgi zapraszają do pogawędki:

— A teraz będę niedyskretny: zapytam pana o sposoby pańskiej produkcji... Pan pisze sam sobie, czy dyktuje?...

—Sobie a muzom, ale na Underwoodzie...

— I z maszyny do pisania na rotacyjną...

— Żeby to tak można!... Siedm razy przepisuję, zanim uznam utwór za dorosły...

Siedm razy! Słyszycie czytelnicy! W takim ciężkim trudzie powstają te rzeczy, które się potem tak lekko czyta. Uczcie się literaci i koledzy dziennikarze jak należy robić, żeby dobre było... Brnę dalej w niedyskrecję:

— Czy zdarza się, że czasem pan niema natchnienia?

Mój gospodarz żachnął się:

— Natchnienie! Poco takie wielkie słowo. Jak jestem w porządku z żołądkiem, gdy mnie nie boli głowa, gdy się wyspałem, gdy jest ciepło w pokoju i nikt mi nie przeszkadza — to wszystko razem nazywa się natchnienie...

— A w jakich warunkach nachodzą pana najlepsze myśli?...

— W łazience. Zawsze dbam o to, ażebym miał w kąpieli papier i ołówek. Mój sekretarz nazywa tę ubikację „łapką na myśli".

— Nad czem pan teraz pracuje?

Nowakowski wskazuje różne ogromne manuskrypty:

— To jest „Babie lato"... Już dwa akty gotowe...

— Oho, nowy Rozmaryn...

— Nawet jest pan bliski prawdy, bo będzie to „Gałązka rozmarynu", ale w 20-cia lat później... Więc losy moich bohaterów rozmarynowych i bohaterek, z których jedna ma już piątego męża. Stąd też pierwszy akt kończy się słowami: „Panowie — do pierwszych żon...".

— A jakżeż idzie z dalszymi aktami?...

— Jak z kamienia... Bo największą trudnością jest uczynić tę sztukę, która jest wprost zagrypowana aktualnością, łatwą do przełknięcia cenzorskiemu gardłu...

— A ten drugi wielki manuskrypt?

— „Błękitna kotwica", powieść społeczna...

— No, no, w dwóch słowach niech pan przynajmniej powie, co w niej będzie?

— O człowieku dobrym, który niema żadnego innego programu, jak nawracać ludzi na miłość bliźniego...

— No i bardzo się na tem poszkapił...?

— Tak, tak, czynienie dobrze, to niebezpieczne zajęcie.

— Tu widzę jeszcze jakaś teczka...

— To będzie historja Polski...

— A to ciekawe przedsięwzięcie kronikarza współczesnej Polski... Jak pan „podejdzie" do tego tematu?... Może to będą jakieś „Wieczory pod Oleandrem"...

— O tyle pan zgadł, że koncentruję historję Polski dookoła Krakowa... Wszystko, co się w Polsce działo, oplątywało się przecież o te mury...

— To coś, jak w filmie Sachy Guitry, w którym historja Francji została przedstawiona w perspektywie Pól Elizejskich...

— Naturalnie, te dwa pomysły nie są z sobą w jakikolwiek sposób związane.

— To ma być książka dla młodzieży?

— Tak jest...

— Musi pan utrzymywać chyba bardzo przyjazne stosunki z tą „smarkatą" Polską.

— To najmilsi moi czytelnicy... Jakież sympatyczne listy od nich... Niedawno np. piszą mi dzieci z Wielkich Hajduk, że muszę koniecznie tam pojechać do nich... Oni mają mi dużo do powiedzenia... A ja też muszę im coś powiedzieć... Albo co słychać z Józkiem Gwizdałą, pytają się chłopcy z innej miejscowości...

— Nie mam przyjemności znać tego Józka, mimo, że czytałem wszystkie pańskie utwory...

— Ale nie czytał pan 80-ciu opowiadań, rozrzuconych po czytankach... Tam jest właśnie taki jeden Józek Gwizdała... Takich zapytań o losy bohaterów ciągle otrzymuję mnóstwo...

— A „Puhar Krakowa" jakże się rozszedł?...

— Rozlał się po Polsce szeroką falą 20.000 nakładu. Jest to jedyna książka o Krakowie, która się stała obowiązkową lekturą we wszystkich szkołach powszechnych całej Polski...

— A to co za dziwny tytuł? „Kaap de goede Hoop"... — wołam — szperując na biurku Nowakowskiego...

— „Przylądek Dobrej Nadziei" po holendersku. A tu dwa inne przylądki: szwedzki „Goda Hoppsuddep" i czeski „Mys dobré nadeje"...

— Pan jest chyba jednym z najbardziej zapracowanych polskich autorów?...

— O tak, nie mogę się skarżyć na brak tematu i nakładców... Gdyby to tak można wszystko wykonać... Przecież czeka mnie jeszcze trzeci tom mojej powieści autobiograficznej, następny po „Rubikonie", lata uniwersyteckie i teatralne... A kiedy będzie na to czas?... Zapóźno się wziąłem do literatury...

— Ciekawe, kiedy wyszła pańska pierwsza książka?...

— „Wymarsz", wie pan, duża nowela legjonowa... 23 lata temu...

— Ach, więc za dwa lata wystrychamy pana na jubilata... Tego, który tylu ludziom przypiął już jubileuszową łatkę...

Czuję, że nasza rozmowa zejdzie już tuż, tuż na rzeczy wieczne... A ja nie chcę zakończyć w ten sposób tego feljetonu i czuję, że coś jemu brak... jest za mało nowakowski... Mój gospodarz, to człowiek, u którego Shaw mógłby brać lekcje złośliwości... A ja co? chwalę i chwalę... Tak to nie może się skończyć... Więc stwierdziłem przedewszystkiem, że Nowakowski jest sknera... Umyślnie tak wyspekulowałem, żeby przyjść na obiad. I pomyślcie, ani łyżki barszczu nie dostałem, ani kieliszka rozmarynówki... i odwiedzaj tu zamożnych literatów... Ale to nie wszystko: stwierdziłem, że Nowakowski źle wychowuje psy. Ali (a może to była Baba) okazał się niegrzeczny, chociaż cały dzień uganiał po ogródku — ale właśnie musiał w hallu. Więc Nowakowski ukarał go klapsem.

Tymczasem ręka pańska piesa głaszcze, a nie bije — tak brzmi pierwsze przykazanie psiej pedagogji. A jeżeli jaka ręka, to w pierwszym rzędzie prezesa Z. O. Z-u (Związku Ochrony Zwierząt)... Również i to należy dodać dla charakterystyki tego sławnego porządku, który Nowakowski zaprowadził w swej willi, że furtka do ogrodu zepsuta... Oto cienie owego słońca, którego światłami próbowałem was oślepić... **LUDWIK TOMANEK.**



Chwila zadumy...

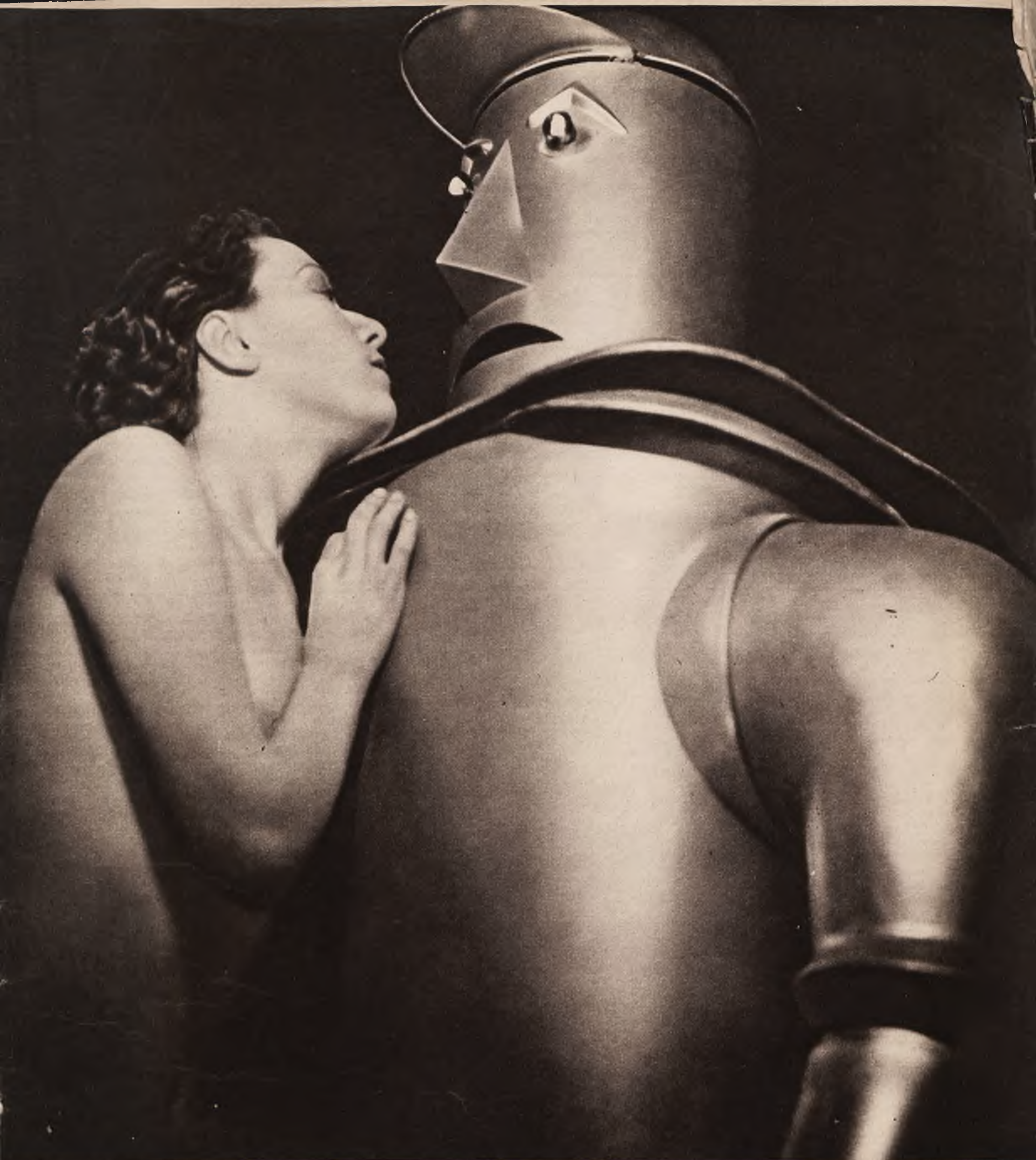


Nowakowski w swem „laboratorjum".

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. „AS"



Na lewo: Willa „Pod Rozmarynem".



Daremnie tulisz się, młoda,
ciała kuszącą ozdobą!
pieszczoty rąk twoich szkoda!
nie drgnie, nie zbudzi się robot...

W milczącej, stalowej masce
piękności twojej szyderca
jakże szczęśliwy, że właśnie
nie ma ni zmysłów, ni serca...

WIT.

JULJUSZ LEO

KULTURA i KILOWATY

Któż z nas nie marzył jeszcze na ławie szkolnej o owych wielkich zdobyczach technicznych, które w powieściach genjalnego Jules'a Verne'a przemieniały życie globu ziemskiego w świat najfantastyczniejszej bajki? Kto mógł wówczas przewidzieć, że już w kilkanaście lat potem wszystko to stanie się rzeczywistością — co więcej, że ludzkość pójdzie znacznie dalej i postęp wszechwładnej techniki stanie się synonimem naszej epoki?

Poniżej: Jan Kiepura.





Ewa Bandrowska - Turska.



Powyżej: Wielka orkiestra symfoniczna P. R. na festivalu wawelskim.

W umyśle niejednego gimnazjalisty rodziło się wtedy pragnienie zaglądnięcia za kulisy wielkiego misterjum wynalazków, uczestniczenia w pracy niestrudzonych pionierów techniki. Pamiętam, że i w mojej klasie gimnazjum Sobieskiego w Krakowie było kilku młodzieńców, którzy cały czas wolny od nauki spędzali najchętniej przy warsztacie, majstrując coś na nim uparcie. A że co roku z okazji gwiazdki czy imienin „towar" do majstrowania napływał obficie, domorośli technicy zawsze mieli ręce pełne roboty, bacząc, by jakaś lokomotywa parowa, czy tramwaj elektryczny w minjaturze przypadkiem za długo nie kryły w swem metalowem wnętrzu tajemnicy, która nam młodym spędzała sen z powiek.

Lata płynęły, a wślad za niemi przybywało nam dojrzałości, rozszerzał się nasz horyzont myślowy, budziły się nowe pragnienia. Trzeba było dotrzymać kroku technice, pędzącej wciąż naprzód w siedmiomilowych butach. Ileż to było radości, gdy po raz pierwszy udało nam się zestawić nieźle funkcjonującą aparaturę telegrafu Morsego, a w rok potem, gdy usłyszeliśmy płynący z telefonu naszego „wyrobu" głos kolegów, którzy nadawali wiadomości z... piwnicy tego samego domu.

Studja na uniwersytecie bynajmniej nie osłabiły u wielu z nas zainteresowania dla techniki. Niedługo po wojnie bolszewickiej, gdy życie w kraju potoczyło się znów normalnym torem, modnem stało się radjo. Ten cudowny wynalazek, o którym wówczas początkowo tylko się wiele czytało, musiał ekscytować umysły ludzi, reagujących żywiej od innych na skutki postępu technicznego. Pojawiły się wzory na budowę aparatu detektorowego, z pomocą którego Warszawianie mogli „łapać" pierwszą polską stację radjową, wybudowaną w stolicy. Prowincja, pozbawiona tych możliwości, rzuciła się odrazu na budowę aparatów lampowych.

Pamiętam tę chwilę, gdy po raz pierwszy zaczął gadać głośnik mego odbiornika, zestawionego wspólnie z kolegami wedle schematu jakiegoś zagranicznego pisma radjowego. Wrażenie było potężne. Od owego wieczoru datował się początek naszej „radjomanji", która podobnie, jak owa wścibskość przed wielu laty w gimnazjum, kazała nam teraz znowu ślęczeć całemi dniami nad zwojami drutów, łączyć je w przedziwnych kombinacjach z różnymi małymi aparacikami o cudacznych nazwach kondensatorów, cewek, transformatorów itd. i potem śledzić wynik tych syzyfowych prac w głośniku, częściej skrzeczącym niemiłosiernie, niż oddającym naturalny dźwięk instrumentów, czy barwę głosu ludzkiego. Mimo wielkiej cierpliwości i wyrozumiałości doszliśmy szybko do przekonania, że jeszcze wiele lat upłynie, zanim ten genjalny wynalazek zacznie naprawdę uprzyjemniać ludziom życie.

Na prawo: Reprezentacyjny gmach Polskiego Radja w Warszawie wedle projektu prof. B. Pniewskiego.



Tymczasem powstanie lokalnej stacji na-



„Chór Dana" przy mikrofonie.



Mała orkiestra P. R.

dawczej gimnazjum realnego w Krakowie, która funkcjonowała dla celów doświadczalnych, odrazu odsunęło na bok gnębiący nas problem złagodzenia trzasków w aparatach lampowych, spowodowanych zaburzeniami atmosferycznemi. Przerzuciliśmy się na budowę detektorów i szybko nauczyliśmy się cenić ich idealnie czysty odbiór. Jeszcze w większym stopniu utwierdziło się w nas przeświadczenie o korzystnej roli aparatów kryształkowych, gdy Kraków zyskał własną rozgłośnię, pracującą przez dłuższy czas z mocą zaledwie 1.7 kilowata. Stacja była więc słaba, a mimo to „łapali" ją ludzie w całym kraju, nawet zagranicą. Skutków tego „łapania" doznałem na własnej osobie. A było to tak...

Na pierwszą zaraz wiadomość o organizowaniu rozgłośni krakowskiej zgłaszać się zaczęli dosłownie wszyscy, którzy coś mieli wspólnego z pracą kulturalną na terenie miasta, a więcej jeszcze takich, którzy tak o sobie sądzili. W ten sposób powstała sytuacja, trudna dla organizatorów z wielu względów, a przedewszystkiem dlatego, że nie mogli oni sobie nikogo zrażać i że nie byli w stanie odrazu zestawić pełnego programu, uwzględniającego rozliczne zainteresowania radjosłuchaczy różnych warstw społecznych. Jedno nie ulegało wątpliwości; muzyka powinna była od początku zając pierwsze miejsce w repertuarze dnia. W tym też kierunku poszły wysiłki stacji, która już w początkowych audycjach mogła się poszczycić wysokim poziomem koncertów.

Prócz muzyki klasycznej i dział muzyki lżejszej musiał być uwzględniony. Temu zawdzięczałem zaproszenie rozgłośni do zorganizowania orkiestry jazzowej. Jej produkcje miały wielkie powodzenie u radjosłuchaczy, tembardziej zrozumiałe, że właśnie wtedy zaczął się u nas rozwijać równolegle z „radjomanją" pęd do jazzu. Po pierwszym koncercie, podczas którego wykonałem część programu sam na fortepianie, nadeszło do mnie kilka telegramów, a wśród nich jeden aż... z Rumunji. Mój przyjaciel, mieszkający na zapadłej wsi bukowińskiej, donosił mi z entuzjazmem, że zdołał „złapać" Kraków i że słyszał moją grę, która mu przyniosła duże zadowolenie.

Zaimponowała mi przedewszystkiem odległość, na jaką był słyszany mój koncert. Potem obleciał mnie strach przed małem pudełkiem mikrofonu. Pierwszy raz uprzytomniłem sobie, że już wtedy przysłuchiwały się produkcjom dziesiątki tysięcy słuchaczy i że to bynajmniej nie był koncert bez publiczności. Trema przed niewidzialnymi słuchaczami, która zwolna udzieliła się i innym wykonawcom, podsunęła nam nazwę na te audycje. Nie mówiliśmy o nich inaczej, jak o „koncertach dla duchów". Od tych chwil wiele czasu upłynęło i wiele się też zmieniło.

Dziś, gdy z perspektywy lat kilkunastu spoglądam na niemowlęcy okres polskiej radjofonji, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że posłannictwo kulturalne, jakie radju przypadło w udziale, zostało już w tym okresie u nas spełnione w sensie dodatnim. Umiejętna selekcja wykonawców i wybudowanie trwałych fundamentów programu audycyj, rozwijającego się w ciągu następnych lat bytu radja równolegle z rozszerzaniem się zasięgu poszczególnych stacyj, stanowią świadectwo rozumnie pojętych zadań przez Polskie Radjo. Że początkowo istniały niedomagania, nie mogło to nikogo dziwić. Usuwano je konsekwentnie w latach rozwoju, walcząc skutecznie z fałszywą opinją o małej rozpiętości możliwości radjofonji w obsłudze kulturalnej słuchaczy. Na tej drodze rzetelnych wysiłków osiągnięto też wielkie rezultaty. Mogło to się stać tylko przy realizacji programu pracy, idącej w trzech kierunkach równocześnie, a to zdobycia jak największej ilości radjosłuchaczy i temsamem dochodów, rozbudowy sieci rozgłośni oraz podniesienia poziomu audycyj.

Wszystkie te cele zostały już w znacznej mierze osiągnięte przez Polskie Radjo. Zaledwie kilka dni temu dowiedzieliśmy się, że zarejestrowano u nas miljonowego radjoabonenta — wynik nietylko jak wielu myśli rozumnej i usilnej propagandy z pomocą różnych imprez konkursowych, ale przedewszystkiem coraz silniejszego przesiąkania do opinji publicznej przeświadczenia o konieczności pielęgnowania kultury przy pomocy właśnie radjofonji. Takie

Dokończenie na str. 18-ej.

Poniżej od lewej:

Mieczysław Münz, Henryk Sztompka, Zygmunt Dygat.









Stefan Jaracz.



Boy-Żeleński.



Ferdynand Goetel.



Antoni Cwojdziński.

PREMJERA w HOLLYWOOD

Rzadko kiedy odbywają się u nas „premjery" filmowe. Ot — poprostu nazywa się to zmianą programu i mówimy: Chodźmy do tego a tego kina, bo jest tam już nowy film... Nikt nie przywiązuje wagi do faktu, że właśnie nowy, a określenie „premjera" zarezerwowane zostało wyłącznie dla teatru.

Niekiedy tylko jesteśmy świadkami premjery filmowej, gdy chodzi o jakiś niezwykły film — a nieraz też, gdy chodzi o zwykły, ale „wydęty" podmuchem reklamy do jakichś nadzwyczajnych rozmiarów.

Tymczasem w stolicy filmu, w Hollywood, premjery filmowe są częste — tak częste, ile wytwarza się nowych filmów, nakręcanych i granych przez Hollywood. Karjera każdego filmu hollywoodzkiego zaczyna się właśnie od tej premjery w Hollywood, na której zjawiają się nietylko wszystkie gwiazdy i gwiazdory, nietylko producenci i reżyserzy oraz niezliczona ilość sił pomocniczych, zatrudnionych przy kręceniu filmu — ale także przedstawiciele wielkich koncernów wypożyczalni filmowych, którzy na podstawie premjery urabiają sobie zdanie o filmie i odrazu kontraktują go u wytwórni na mniejsze czy większe okresy czasu wyświetlania w danem państwie, czy w kilku państwach naraz. Niektóre bowiem z tych koncernów, „przedstawicielstw" jak się to nazywa — obejmują swym zasięgiem wielkie połacie tego czy innego kontynentu.

Przedewszystkiem jednak taka wielka premjera jest emocją dla aktorów. Ci, którzy występują w danym filmie, widzą siebie po raz pierwszy w tych rolach i mają możność obserwacji samych siebie, kontroli nad samymi sobą. A ci, którzy w tym filmie nie występują, mają znów możność krytyki pochlebnej czy ujemnej i fantazjowanie na temat „jakbym ja to zagrał"...

z.



Virginia Bruce i Tony Martin.



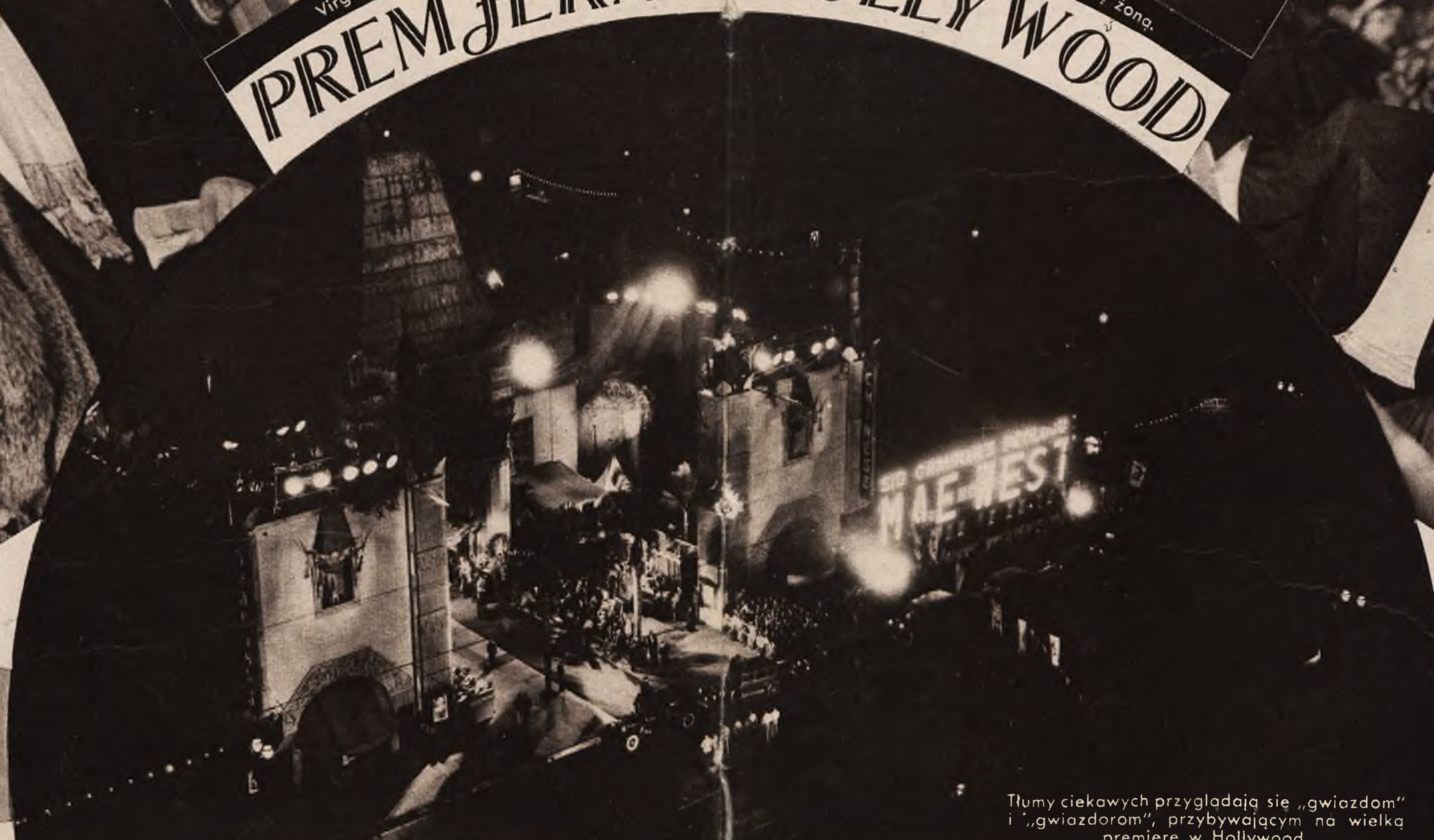
Shirley Temple prowadzona przez matkę.



Don Ameche ze swą żoną.



Loretta Young w towarzystwie Richarda Green'a (po prawej) i Davida Nivena.



Tłumy ciekawych przyglądają się „gwiazdom" i „gwiazdorom", przybywającym na wielką premjerę w Hollywood.



Marlena Dietrich i Douglas Fairbanks jr. na premjerze swego filmu.

Dokończenie ze str. 5-ej.

Prasa tymczasem pisze o coraz nowszych sukcesach militarnych. Lecz cóż — Chiny są olbrzymie — a Chińczyków jest całe morze...

Niedawno jedno z pism francuskich zamieściło wywiad z Welingtonem Koo. — W rozmowie z dziennikarzem dyplomata chiński przedstawił swój punkt widzenia na sprawy Chin — Japończycy zdobyli pół Chin — to prawda. Być może, że jeszcze zdobędą kilka prowincyj — lecz cóż z tego? Chińczycy znacznie silniej się rozmnażają od Japończyków — wedle ostatnich statystyk jest ich 450 miljonów — zbliżają się zatem do gigantycznej cyfry pół miljarda.

„Posiadamy znacznie starszą kulturę od Japończyków — myślą Chińczycy — nie grozi nam japonizacja.Czy natomiast Japończycy nie rozpuszczą się w oceanie chińskim — to jest pytanie?" Historja zna takie przykłady. Chińczycy mają czas. — Przyzwyczajeni są liczyć stuleciami czasokresy swej historji. Tymczasem wojna z Japończykami poruszyła tę drzemiącą półmiljardową masę. Korespondenci pism angielskich notują wzrost poczucia nacjonalnego u Chińczyków.

Całość zagadnienia sprowadza się do dowcipnego powiedzenia Wu-Pei-Fu: „Japończycy zwyciężają — ale kto kogo zje i strawi — zwycięzca zwyciężonego, czy też naodwrót, to jest wielkie pytanie?"

Jul. Mier.

Dokończenie ze str. 6-tej.

U wielu pająków sieć przez nie utkana służy im za schronienie i bezpieczne miejsce pobytu. Niekiedy, jak u wodnego pająka topika, sieć pajęcza zbudowana w kształcie dzwonu służy do magazynowania powietrza, którym pająk oddycha i dzięki temu przez dłuższy czas może pozostawać i mieszkać pod zwierciadłem wodnem.

U namiastka wędrownego spełniają pojedyncze, srebrzyste nici delikatnej pajęczyny rolę środka lokomocji. Niby na długich welonach wznoszą się drobne pajączki tego gatunku wraz z podmuchem wiatru i odbywają nieraz długie podróże powietrzne, póki nie wylądują w jakiemś odpowiedniem dla siebie miejscu.

Jeszcze inne pająki, jak zduny południowo-europejskie, zakładają swe gniazda pod ziemią i ściany tych podziemnych rur tapetują delikatną tkaniną pajęczą.

Z nici pajęczych są wreszcie utkane kokony, które kryją w sobie mnóstwo drobnych jajeczek, mających wydać nowe pokolenie.

Przeważnie pająki nie troszczą się ani o jajka, ani o swe młode, pozostawiając je własnemu losowi. U niektórych jednak gatunków pająków można zauważyć instynkt macierzyński silnie rozwinięty. Niektóre samiczki noszą ze sobą kokony, przytwierdzając je z pomocą lepkiej wydzieliny do odwłoka i nie porzucają swego skarbu ani przy poszukiwaniu zdobyczy, ani też nawet w obliczu grożącego im niebezpieczeństwa. Pająk „Pisaura mirabilis" w specjalnej kopulastej tkaninie umieszcza kokon z jajami, w którym młode pajączki po wylęgnięciu się pozostają tak długo, póki nie staną się zdolne do opuszczenia tego schronienia i samodzielnego poszukiwania zdobyczy. U pająka ogrodowego „Pardosa saccata" młode w pierwszych dniach swego życia przebywają w kokonie lub też pełzają po grzbiecie matki. Troską o potomstwo odznacza się również żyjący na pastwiskach pająk „Agroeca brunnea", który swój delikatny, śnieżno-biały kokon umieszcza na łodyżkach roślin lub gałązkach, a ponieważ kształt kokonów przypomina małe dzwonki lub latareczki, lud nazywa je „lampkami wróżek". Często kokony te są „inkrustowane" ziemią dla ochrony przed zagrażającymi im osami.

Tak misterne i różnorodne tkaniny pająków, charakterystyczne dla poszczególnych ich gatunków, są ich wrodzonym kunsztem tkackim, niezmiennym od tysiącleci, pozostającym pod kierowniczym wpływem instynktu.

Dr. Z. M.

Dokończenie ze str. 7-ej.

gowała z polskiego „okna na świat" nieprzychylnych dla nas elementów, które dzięki nam tylko doszły do potęgi i bogactwa.

Dzisiaj „Wolne Miasto" zrozumiało może zapóźno, że nieprzychylny wobec Polski nastrój był tą przyczyną, dla której niemal pod bramami grodu, których kiedyś nie chciano otworzyć na rozkaz prawowitego króla — powstała Gdynia. Olbrzymi port Rzeczypospolitej; która przy dzisiejszych środkach komunikacyjnych nie musi korzystać tylko z dowozu towarów Wisłą, jest czynnikiem godzącym przedewszystkiem w kieszeń potomków żeglarzy hanzeatyckich. Zapomniano jednak nad Nogatem, że kieszenie te były pełne dzięki transakcjom polskiem zbożem i drzewem — więc i my napewno nie potrzebujemy rozczulać się nad zmiennym losem „Civitatis Gedanensis".

Nie dowiadujemy się ze serji reprodukowanej, jakie były początki miasta, ale już w 1500 roku obchodzili tam rycerze Zakonu Krzyżackiego „święto majowe". Na jaką cześć odbywały się turnieje rycerzy, niewiadomo i chętnie dowiedzielibyśmy się tego od któregokolwiek z naszych Czytelników.

Na marginesie tej serji jedna uwaga — schowajmy delikatność sąsiedzką do kieszeni i przy najbliższej sposobności pokażmy światu na znaczkach — zwłoki Wielkiego mistrza Ulryka von Jungingen na polach Grunwaldu, lub też „Hołd Pruski"

Na egzemplarzu za 15 fenigów widzimy załogę francuską, która po kapitulacji musiała opuścić Gdańsk 125 lat temu i od tej chwili panują w nim Prusacy.

Doroczna serja finlandzka na rzecz „Czerwonego Krzyża" obejmuje jak zwykle cztery wartości (za 50 + 5 p. zielona, 1.25 + 15 p. brązowa, 2 m + 20 p. karminowa i 3.5 + 35 p. niebieska). Dopłaty są więc znikome, a na rysunku widzimy pole bitwy pod Solferino, gdzie 71 lat temu po raz pierwszy organizacja ta rozpoczęła swą aktywną działalność.

W. H.

Dokończenie ze str. 15-ej.

przeświadczenie zrodzić się mogło tylko w atmosferze zaufania do wartości audycyj radjowych, nieocenionych przedewszystkiem dla ludzi, mieszkających zdala od wielkich ośrodków życia kulturalnego, oraz tych wszystkich, którym wiek i choroba nie pozwalają na uczestniczenie w koncertach, prelekcjach i przedstawieniach teatralnych. W szeregu świetnych wykonawców tych audycyj błyszczą niemal wszystkie nazwiska gwiazd naszej muzyki, sceny i literatury, że wymienimy tylko najgłośniejsze, śpiewaków: Ewy Bandrowskiej-Turskiej, Jana Kiepury — pianistów: Henryka Sztompki, Zygmunta Dygata, Mieczysława Münza, Artura Rubinsteina — aktorów: Stefana Jaracza, Stanisławy Wysockiej, Wojciecha Brydzińskiego, Aleksandra Zelwerowicza — literatów: Boya-Żeleńskiego, Antoniego Cwojdzińskiego, Jerzego Szaniawskiego, Stanisława Wasylewskiego i wielu, wielu innych, których dla braku miejsca nie sposób wszystkich wyliczyć. Długą listę niemniej świetnych nazwisk przytoczyćby można było w dziale prelekcyj naukowych, jakże często i niesłusznie niedocenianych przez malkontentów.

A teraz wypadałoby rozprawić się z zarzutem, najczęściej stawianym radjofonji, że właśnie ona przyczyniła się do zaniku kultury przez ułatwianie ludziom wygodnej rozrywki w domu i tem samem unikania udziału bezpośredniego jako słuchaczy i widzów w imprezach, opartych na kulcie żywego słowa, żywej muzyki. Zarzut taki nie może istnieć dla ludzi inteligentnych, którzy zdają sobie jasno sprawę, iż radjo nigdy nie zastąpi sztuki, uwzględniającej optyczne efekty, a więc np. teatru, opery, baletu itd. Kto więc dziś zapoznaje wartości tych imprez, ten nie przekonałby się do nich i wówczas, gdyby radja nie było.

Wiele placówek kulturalnych zawdzięcza dziś istnienie swe właśnie radjofonji. Orkiestry symfoniczne w stolicy i miastach prowincjonalnych korzystają z pomocy finansowej Polskiego Radja, które zapewniło im szereg stałych transmisyj w roku. Niejeden młody muzyk i literat zaczynał swą karjerę właśnie przed mikrofonem (Lato w Nohant) i tylko przez audycje w radju zdobył podstawy do dalszej pracy.

Na ten temat możnaby jeszcze przytoczyć więcej przykładów, z których każdy woła głosem donośnym o prawdziwej harmonji, jaka od początku istniała i istnieć zawsze będzie między KULTURĄ I KILOWATAMI!

SENSACJA STAROPOLSKA:

GERTRUDA i SZCZĘSNY



Anna Elżbieta z Potockich Potocka, matka Szczęsnego (według współczesnego sztychu).



„Król Rusi" Franciszek Salezy Potocki, wojewoda kijowski (według współczesnego sztychu).

Zdarza się nieraz, że drobny naogół fakt, małe wydarzenie, podkreśli w sposób dosadny pewien stan rzeczy, że ono dopiero postawi tę kropkę nad i, jakiej nie zaznaczyły wszystkie inne, większe daleko zdarzenia. Taki fakt, rzucający światło na proces psychologiczny toczący się w łonie narodu, to sygnał zwiastujący, że wkrótce panujący stan rzeczy wyda swoje owoce.

Gdy dziś z odległości kilkudziesięciu lat oglądamy dzieje Polski XVIII wieku, zauważymy niejeden objaw, świadczący o rychłym upadku państwa. Współcześni nic zdawali sobie sprawy z tych symptomatów upadku i rozkładu w jakim się znajdowała nasza ojczyzna: zdawało im się, że wszystko właściwie idzie dawnymi torami, że nic nowego nie zaszło a klęski, jakie nawiedzały Polskę, były tylko dalszym ciągiem tych samych przemarszów wojsk, głodów, kłótni i tego rozbicia, jakie wystąpiło już znacznie dawniej a choćby tylko wspomnieć najazd szwedzki i towarzyszące mu okoliczności. Zdawało się nawet, że obudzenie się narodu jakie w pewnej mierze nastąpiło w końcu epoki saskiej, uzdrowi naród i wyda dobre owoce.

Psychika narodu była jednak zbyt skostniała, aby mogły ją zmienić dorywcze ostatecznie, docierające jedynie do najzamożniejszych warstw, reformy. Ogół nie mógł wyjść ze swoich dotychczasowych ram życiowych.

Poniżej: Pałac krystynopolski od strony wjazdu.



Aferą na wielką skalę, która wzbudziła pewne refleksje, może nawet niezbyt daleko sięgające jeżeli chodzi o symptomatyczność zjawiska, ale w każdym razie refleksje moralne, było zabójstwo Gertrudy Komorowskiej, żony Szczęsnego Potockiego. Chociaż nie było wtedy dzisiejszych środków komunikacji ani porozumiewania się, to jednak wieść o tym tak jaskrawym gwałcie wzburzyło opinję publiczną. Z tego też powodu możnaby ją porównać do niedawnych procesów pani Hanau, afery Stawiskiego czy innego potentata finansowego III republiki.

Dramat Komorowskiej wykorzystała nasza literatura, choćby wspomnieć o „Marji" Malczewskiego i J. I. Kraszewskim, w bogatej mierze, doszukując się w całej tragedji wątka poetyckiego, ciekawych i wzruszających momentów i osnuwając w ten sposób cały dramat nicią poezji i fikcji. Chociaż jest to temat bezwątpienia wart pióra poety czy powieściopisarza, ciekawszą jego stroną jest bodaj psychologja społeczna działających osób. Zgłębiając ją, robimy rodzaj wiwisekcji na chorym organiźmie Polski XVIII w.

„Leitmotivem" tego dramatu jest pycha, która wyszedłszy z piekieł, przyoblekła się w postać możnych tego świata i popchnęła ich do największych zbrodni. Bo też jedną z naszych głównych wad była ta pycha, która nieraz objawiała się fantazją, gestem nieraz hartem woli posuniętym do bohaterstwa, którem rozbrzmiewały nasze kroniki.

Olbrzymi majątek, niepohamowana duma, wielkie znaczenie w kraju wkońcu nieprzewidziane okoliczności i komplikacje, uczyniły bohaterem nietylko dnia, ale też całych lat Franciszka Salezego Potockiego, wojewodę kijowskiego, syna Józefa, strażnika w. kor. i Teofili z Cetnerów. Niezmiernie dobra a



Na lewo: Szczęsny Potocki (według współczesnego sztychu).



Na prawo: Gertruda hr. Komorowska (według współczesnego portretu nieznanego pendzla).

przedewszystkiem Krystynopol, o którym mówić będziemy obszerniej, Tulczyn, Brahiłów, humańszczyzna i wiele innych czyniły go istnym dynastą, to też nie było przesadą gdy go nazywano „królem na Rusi". Dobra jego składały się z 70 miasteczek i kilkuset wsi a w dobrach zamieszkiwało około 400.000 poddanych. Nic też dziwnego, że Krystynopol, w pow. sokalskim, jako rezydencja takiego potentata był siedzibą niezwykle ozdobną, obszerną i stał się centrum życia politycznego i towarzyskiego dalekiej okolicy. Jak wielu panów polskich tak i Potocki utrzymywał własne nadworne wojsko: szło w parze z duchem czasu, że królewięta starały się tworzyć pozory monarszej pompy, a w tym celu każdy wielki dom dysponował większą czy mniejszą „armją". Czynił tak Józef Aleksander książę Jabłonowski, założyciel „Societas Jablonoviana" w Lipsku, dziwak wielki i erudyta ale niepomiernej dumy, czynił tak książę Panie Kochanku Karol Radziwiłł, nie mógł i Potocki ustępować tamtym. Wojsko jego składało się z lejbgwardji dragonów pod komendą Karola hr. Sierakowskiego, pozatem liczna służba z szlachty się składająca, więc szatni, koniuszowie, łowczy itd. otaczała świetną osobę wojewody. Marszałkiem dworu uczynił niezamożnego szlachcica, księcia Włodzimierza Czetwertyńskiego, starostę utajkowskiego.



Na lewo: Wartownia w Krystynopolu, przed którą służbę pełniło nadworne wojsko Franciszka Salezego Potockiego.

który wnosił na dwór wojewody splendor swej rurykowiczowskiej mitry książęcej. Po śmierci Augusta III. Franciszek Salezy Potocki brany był dosyć poważnie pod uwagę jako kandydat do tronu: gdy z obietnic Rosji nic nie wynikło, wojewoda, zrażony do świata, zamknął się w sobie, i stał się bodaj jeszcze dumniejszym i bardziej nieprzystępnym niż poprzednio. Na tle tego usposobienia wyrosła późniejsza tragedja.

Zupełnie niepodobnym do ojca był syn jego Stanisław Szczęsny Potocki, który odegrał później smutną rolę w konfederacji Targowickiej. Słabego charakteru, niezdecydowany, chociaż zasadniczo dobrej woli, ulegał we wszystkiem rodzicom. A miał wojewoda żonę, która, jako również Potocka z domu, w pełni podzielała poglądy męża, jego dumę, ambicje i dbałość o splendor imienia. Szczęsny Potocki w jednej ze swych wizyt sąsiedzkich poznaje w Susznie, majątku Komorowskich, Gertrudę Komorowską, córkę Jakuba hr. z Liptowy i Orawy Komorowskiego, kasztelana santockiego i Antoniny Brygidy z Werbna Pawłowskiej. Komorowscy jakkolwiek są bardzo starą i znaczną w przeszłości rodziną, a daleko większe od Potockich mieli prawo do dziewięciopałkowej korony, opierając swe prawa na dyplomie króla węgierskiego Macieja z r. 1469, to jednak nie mogli się równać z magnackim domem Potockich. Gertruda jest ślicznem stworzeniem, typem zapewne bogobojnej, cichej szlachcianki, niezbyt może obytej, mądrej, ale cnotliwej i pełnej krasy i świeżości. Mało wiemy o jej życiu, mniej jeszcze zachowało się jej portretów, z których właściwie tylko jeden, przez nas reprodukowany, zasługuje na uwagę jako zapewne najbardziej autentyczny. Szczęsny Potocki, któremu duszno jest w sztucznej i wyniosłej atmosferze krystynopolskiego pałacu, zakochuje się w Gertrudzie, a w pewien czas potem, mimo różnych intryg rodziny, poślubia ją potajemnie. Możemy sobie wyobrazić, jakie wzruszenia przeżywa młody człowiek, który zapewne po raz pierwszy i ostatni w życiu odczuł prawdziwą miłość: następne jego małżeństwa z piękną Mniszchówną oraz drugie z piękną Greczynką, Zofją Wittową podyktowane były bądź to polityką rodzinną, bądź też chwilowym kaprysem. Ale, jak się okazało, nie był zdolny pójść za tem uczuciem i bronić go przed dziwactwami i przesądami swego najbliższego otoczenia. Gdy wiadomość o ślubie dociera do Franciszka Salezego Potockiego, cała rodzina rozgorzała oburzeniem na wybryk młodego dziedzica olbrzymiej fortuny. Wojewoda rozpoczyna kroki rozwodowe: wobec tego, że Szczęsny znając nieustępliwość swego ojca spodziewał się, iż może dojść do porwania jego żony i zawiezienia jej do jednego z pobliskich klasztorów, Gertruda pozostawała po ślubie nadal w Susznie, u rodziców, następnie zaś udała się do innego majątku Komorowskich Nowego Sioła. Tu, w Nowem Siole następuje pierwszy akt tragedji, która miała być krótką ale obfitującą w najbardziej dramatyczne momenty: dnia 13 lutego 1771 roku wpada do dworu banda kozaków, która uwozi Gertrudę w kierunku Kulikowa. Herszt ami bandy byli koniuszy Wilczek i Aleksander Dąbrowski. Gdy w drodze służba Potockiego spotkała liczne wozy z zbożem i nie mogła ich prędko minąć, zachodziła obawa, że ofiara, przykryta szczelnie futrami, będzie wołać o pomoc a wtedy cała sprawa groziłaby gardłem nietylko samym wykonawcom, ale też inicjatorowi wyprawy — wojewodzie. Jak wiadomo, mało jaka zbrodnia była tak srogo w polskiem prawie karana jak „raptus puellae", gdyż szlacheckie społeczeństwo obwarowywało cześć rodziny najsroższymi paragrafami. Czy siepacze dokonali wtedy zabójstwa na nieszczęśliwej, czy też udusiła się ona przypadkowo, tego oczywiście ani późniejsze śledztwo, ani żaden świadek nie mógł wykazać. Faktem jest, że trupa Gertrudy wyrzucono do zmarzniętego Bugu. I dopiero gdy wiosną ruszyły lody ciało Szczęsnowej Potockiej, ofiary zarówno zbrodniczej pychy wojewody jak też fatalnego zbiegu okoliczności, wypłynęły na wierzch. Szczęsny Potocki, niezdecydowany w swych uczuciach a może zbyt wygodny aby toczyć walkę z rodziną, wyjeżdża zagranicę w kwietniu tegoż roku i wraca z niej dopiero w grudniu 1772 roku, czyli w roku pierwszego rozbioru Polski. Tymczasem zarówno wojewoda jak i wojewodzina przenoszą się na tamten świat.

Powróciwszy do olbrzymiego krystynopolskiego pałacu, Szczęsny Potocki zastaje puste mury, żałobę po rodzicach i olbrzymi majątek, który czeka na objęcie. Ale jak całe życie Szczęsnego tak i te chwile pełne są dla niego goryczy: nie wiadomo czy żal po stracie żony był u niego wielki, pewnem jest tylko, że sprawę sądową, którą wytoczyli Komorowscy przeciwko sprawcom uprowadzenia, starał się przy pomocy zresztą możnych przyjaciół a przedewszystkiem kasztelanowej z Potockich Kossakowskiej, przewlec i o ile możności zatuszować.

Tymczasem cała niemal Polska poruszona była wydarzeniem: ścisły kontakt wszystkich ówczesnych dzielnic, jeżeli chodzi o rodziny szlacheckie, spowodował, że wszędzie mówiono o sprawie, wszędzie komentowano ją na swój sposób, tem więcej, że o ile Potoccy mieli wielu przyjaciół szczerych lub nieszczerych o tyle mieli też z powodów politycznych licznych wrogów, którzy nie omieszkali uczynić z tej sprawy atutu politycznego. Dwa więc procesy: proces rozwodowy wszczęty przez Franciszka Salezego Potockiego, a następnie proces o uprowadzenie rozpoczęty przez Komorowskich elektryzował opinję publiczną przez długi czas. Ciekawem jest, że obie strony, t. j. i rodzice Szczęsnego, jak też i on sam a z drugiej strony rodzice Gertrudy udawali, iż nie wiedzą co się z nią stało, gdyż w ten sposób mogli wygrać liczne atuty nie będąc zmuszonym stawiać świadków, o których by było w tych warunkach trudno. Gdy sprawa się przewlekała a opinja domagała się jej załatwienia, wyznaczono w tym celu osobną komisję. Wkońcu tytułem „odszkodowania" za śmierć córki otrzymują Komorowscy w r. 1774 na własność miasteczko Witków, Płowe i Obrotów w wojew. bełzkiem.

W ten sposób skończyła się tragedja, która jako temat oczarowała wielu literatów i poetów: zakończyła się niezwykle przykrym zgrzytem, gdyż Komorowscy ostatecznie dorobili się na śmierci córki sporego majątku, i jak się zdaje, śmierć jej przebolели dosyć prędko. Szczęsny zaś nie miał tyle odwagi i hartu, aby postąpić tak, jak sytuacja tego wymagała: procesował się jakby tu chodziło o zwykły proces cywilny i posługiwał się majątkiem, chcąc załagodzić sprawę. I to właśnie jest tak charakterystyczne i ciekawe w tym całym dramacie z punktu widzenia psychologji: ludzie ówcześni, mimo czułostkowości i sielankowości, zatracali nieraz normalne, zwykłe uczciwe poczucie rzeczywistości. Jedyną szlachetną, budzącą sympatję, bohaterką dramatu, została biedna Gertruda [1].

JGM.

---

[1] Opierając się na licznych źródłach i ilustrując bogato swe dzieło opisał ten osiemnastowieczny dramat Jan Czernecki w swej książce „Mały król na Rusi i jego stolica Krystynopol", Kraków 1939, księgarnia J. Czerneckiego. Zwłaszcza ilustracje w ilości 120 czynią to dzieło dobrym informatorem o tle dramatu.



W ZIMOWEJ MGLE...
Fot. Dr. Azet – Kraków.

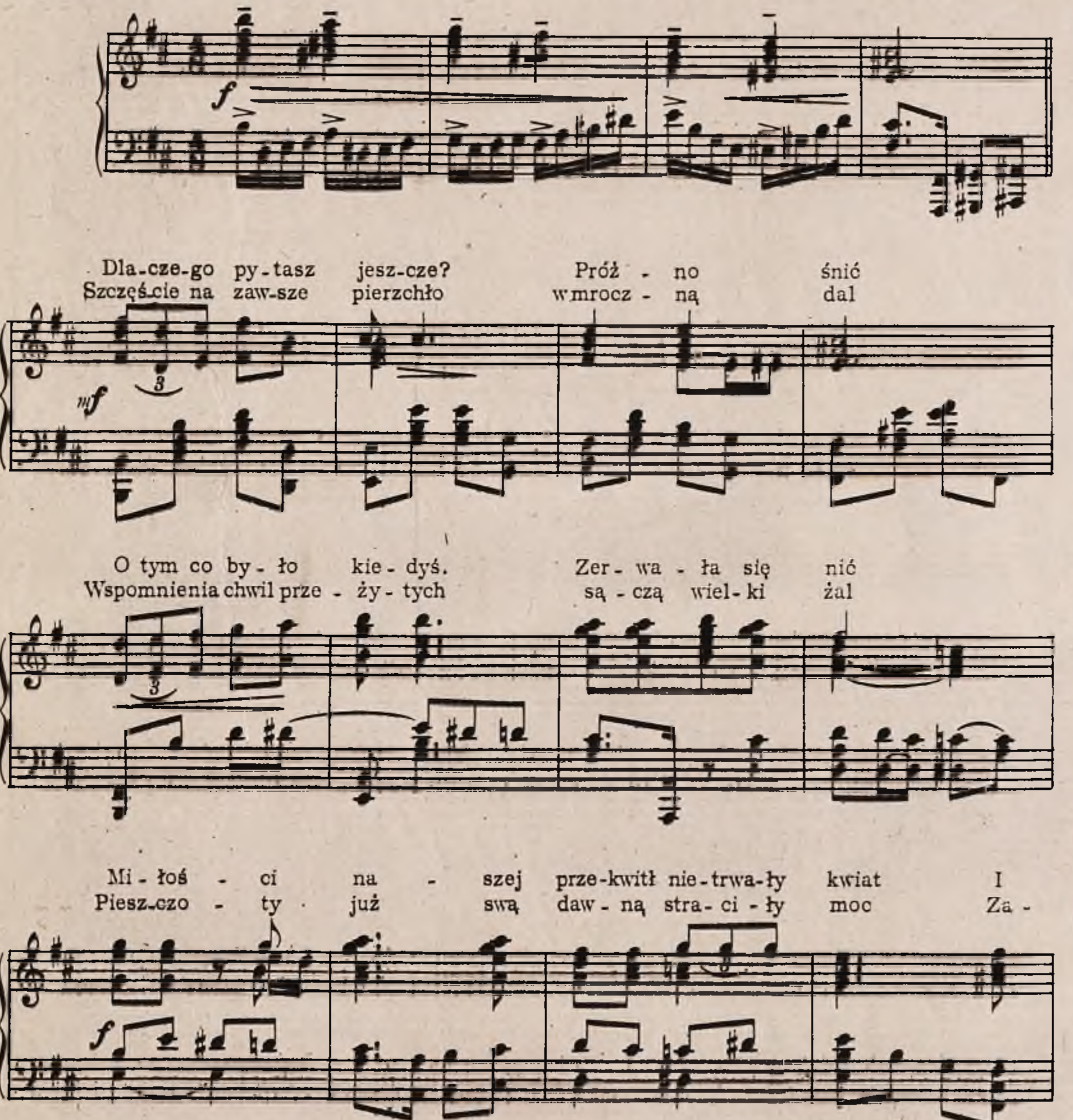
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA":

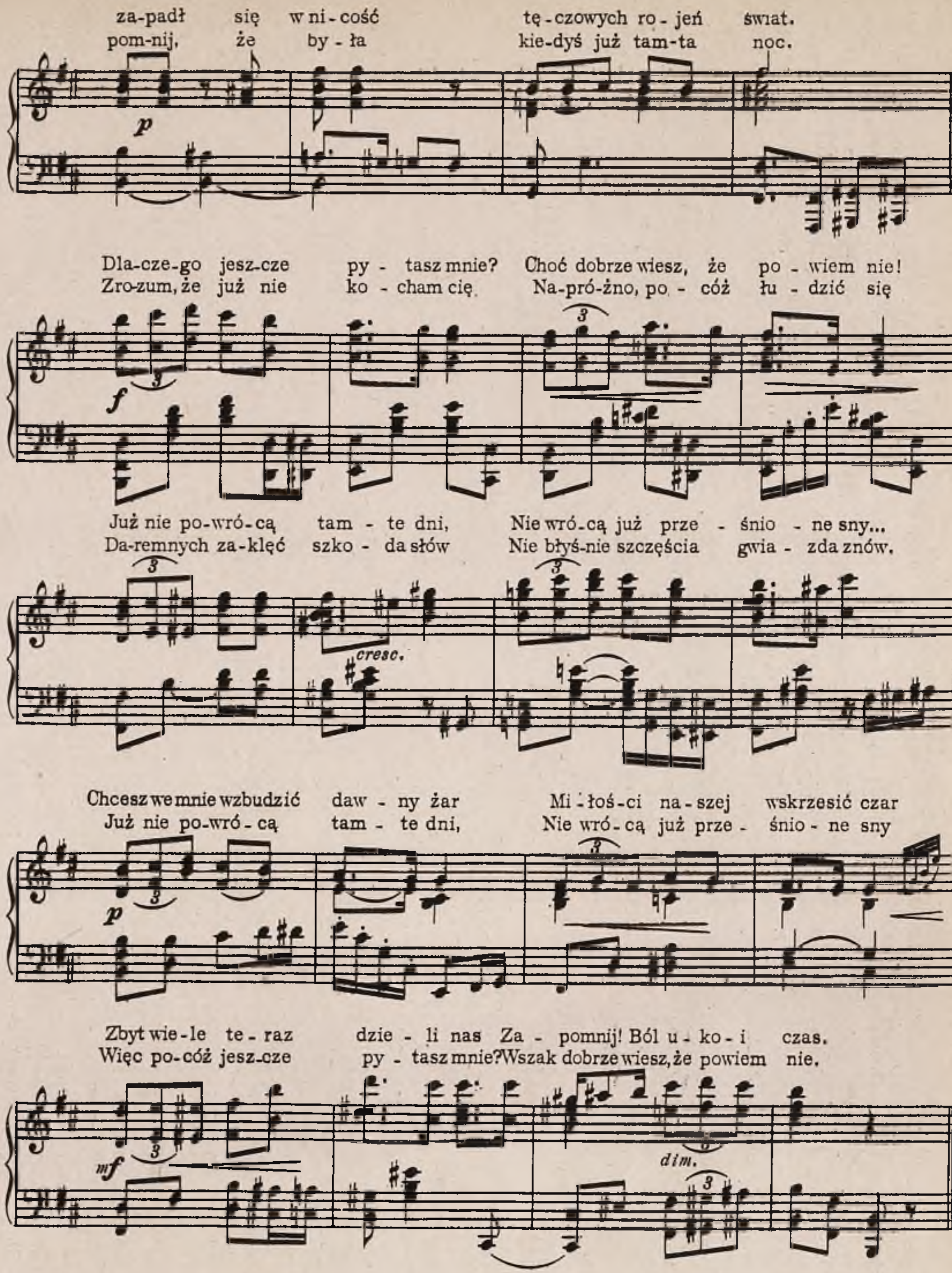
Dlaczego pytasz?

TANGO

Słowa:
MARJA ROGALSKA

Muzyka:
MARJAN RADZIK





ZEGARMISTRZ

★

NOWELA

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

★

Siedzieliśmy w kilka osób po dobrej kolacji przy stole, na którym puste flaszki z wina i liczne niedopadłki papierosów w popielniczkach świadczyły o tem, że kolacja była suta i trwała długo. Jak to bywa w „zgranem" towarzysko kółku przyjaciół, rozmowa nasza zahaczała o liczne bardzo tematy, do których każdy z nas starał się dorzucić swoją uwagę lub jakieś opowiadanie.

Właśnie poruszaliśmy zagadnienie winy i kary: temat był tak emocjonujący, że, jak łatwo się domyśleć, posypały się najbardziej sprzeczne zdania, które w miarę dyskusji prowadziły do coraz to namiętniejszych sporów. Kolega nasz, dr Józef Winter, który przez kilka lat był sędzią, następnie zaś otworzył kancelarję adwokacką, opowiedział ze swej praktyki kilka niezwykle ciekawych i naprawdę oryginalnych zdarzeń, które miały obalać twierdzenie innego naszego kompana, młodego prawnika, nie znającego jeszcze „podszewki" wielu spraw życiowych, że ludzie zasadniczo dzielą się na dwie kategorje: złych i dobrych, uczciwych i złodziei, prawych i zbrodniarzy.

— Nie jest to takie proste, drogi Stasiu, zwrócił się Winter do młodego prawnika. I ja kiedyś, bardzo zresztą dawno, byłem tego zdania i cały świat dzieliłem wedle prawideł kodeksu prawnego na dwie kategorje. Dziś, po wielu latach doświadczeń zmieniłem zdanie i dochodzę do przekonania, że stare francuskie przysłowie „tout comprende c'est tout pardonner" ma w sobie wiele słuszności. Oczywiście, że i tu obowiązują pewne granice, ale ogółem biorąc jest ono prawdziwe.

— Nie masz racji, mój drogi — przerwał gruby, dobrodusznie wyglądający lekarz, Wichulski — pewnych rzeczy nie można wytłumaczyć jak tylko tem, że dana jednostka od kolebki nieomal nosi na sobie piętno zbrodni, występku, podłości. Są rzeczy, którychby nikt i nigdy nie zrobił jak tylko tak zwany „urodzony zbrodniarz".

— Przemawia przez ciebie teorja Lombrosa — oponował były sędzia — teorja ciekawa, bardzo efektowna, ale mojem zdaniem nieprawdziwa. Widzisz, aby poznać psychologję człowieka, trzeba naprawdę tak niezwykle dokładnie i bystro objąć tysiączne drobne szczegóły jego życia, tak trzeba bardzo wniknąć w momenty psychologiczne nieraz nie dające się ujawnić, że trzeba być tu z sądem niezwykle ostrożnym. Mówię ci to jako były sędzia, który znał i widział niezwykłe nieraz wypadki zbrodni i kary. Oto właśnie przypomina mi się taki wypadek, który, jeżeli was to nie znuży, bo i tak już długo na ten temat dyskutujemy, chętnie opowiem.

Oczywiście dały się słyszeć cztery potakujące głosy, bo wiedzieliśmy, że sędzia opowiada dobrze i tylko wtedy, gdy naprawdę opowieść warta była słuchania.

— Dziwne zdarzenie, o którem chcę mówić, nie wydarzyło mi się z tej racji, że byłem wtedy sędzią, ale zjawiło się w mojem życiu, że się tak wyrażę „prywatnie". Mieszkałem wtedy we Lwowie: byłem dopiero niedawno na nowem stanowisku, miasto znałem mało, to też również i stosunków towarzyskich jeszcze niewiele zdołałem nawiązać. Z tych powodów wieczory, o ile pozwalała na to moja praca, spędzałem chętnie w pewnej kawiarni, do której uczęszczali zazwyczaj starsi ludzie, emeryci, którzy szukają skupienia, ciszy i... gazet. Oczywiście znałem dobrze — przynajmniej z widzenia, wszystkich stałych bywalców kawiarni, a nawet chętnie obserwowałem ciekawsze typy, podpatrując ich przyzwyczajenia, manje, nawyczki i słuchając ich rozmów.

Każdy sędzia przecież powinien być psychologiem, a ja wtedy bardzo byłem przejęty moją misją niesienia sprawiedliwości, to też chętnie zastanawiałem się nad ludzką mentalnością, aby tem lepiej móc wykonywać mój zawód.

Jednym z oryginalniejszych gości tej kawiarni był pewien stary pan o pięknej, ale zbolałej twarzy, który przychodząc do kawiarni, siadał w kącie, brał pierwszą lepszą gazetę do ręki i już się z nią aż do swego wyjścia nie rozstawał. Podkreślam ten szczegół, że czytywał pierwszą lepszą gazetę, nie jak normalny gość kawiarniany, który ma zawsze swoje ulubione pisma, które najpierw chce przejrzeć. Dziwiło mnie to z punktu widzenia psychologji, to też zapytałem o owego gościa znajomego kelnera. „To pewien zegarmistrz, proszę pana", odpowiedział mi młody człowiek w białym fartuchu, „a właściwie może nie zegarmistrz, tylko ma, żeby tak powiedzieć, fioła na punkcie zegarów. Sam nosi ze sobą coś kilka sztuk i bardzo często pyta się o godzinę, potem reguluje swoje zegarki, kręci się na stołku, jakby mu coś dolegało i dokładnie o godzinie dziesiątej wychodzi z kawiarni".

Informacje kelnera zgadzały się z memi obserwacjami: były one naprawdę zastanawiające. Co mogło spowodować u tego człowieka takie zamiłowanie, bezwzględnie nienormalne, do zegarków, i co wkońcu powodowało jego dziwny niepokój? Jako sędzia, mający głowę nabitą różnemi sprawami, zacząłem przeczuwać w tej zagadce jakieś niezwykłe przeżycia, łączące się, jeżeli nie z zbrodnią, to w każdym razie z jakiemś niezwykłem wydarzeniem.

Niedługo czekałem na wyjaśnienie zagadki. I wtedy, wiecie moi panowie, wtedy, podczas rozmowy z tym dziwnym człowiekiem, którego kelner nazwał zegarmistrzem, przekonałem się dopiero, jak bardzo trzeba być ostrożnym, zanim się wyda wyrok nietylko jako sędzia, w birecie na głowie, ale jako człowiek prywatny.

Pewnego razu zauważyłem, że „zegarmistrz" obserwuje mnie zpodełba i ciągle odkłada gazetę, aby mi się lepiej przyjrzeć. Czekałem, co z tego zachowania wyniknie. Po chwili wstał od swego stolika i podszedł do mnie. „Pan wybaczy, że go nudzę moją sprawą, ale widuję pana tu codziennie i dowiedziałem się, że jest pan sędzią. Otóż widzi pan, chciałem się oddać w ręce sprawiedliwości!" Patrzyłem na niego zdziwiony, przerażony. Czyż miałem do czynienia z obłąkańcem, czy z człowiekiem, który naprawdę poczuwał się do ciężkiej zbrodni? Ciekawość poczęła mnie ogarniać coraz to większa. „Nie rozumiem pana — odparłem. — Chce pan oddać się w ręce sprawiedliwości? W takim razie nasza rozmowa nie ma znaczenia, bo mówię teraz z panem prywatnie, nie urzędowo". „Zegarmistrz" popatrzył na mnie z takim bolesnym wyrazem twarzy, że ścisnęło mi się serce. „Chciałem panu się przyznać do pewnego czynu, chciałem przed kimś wyjawić to, co mnie dławi, to, co nie pozwala mi spać. Jeżeli pan uzna za stosowne, może mnie pan oddać w ręce władz. Ale niech pan posłucha". Nerwowym ruchem wyjął z kieszeni stary, złoty zegarek i spojrzał na godzinę. „Mam jeszcze godzinę czasu" — rzekł wkońcu.

Kawiarnia była o tej porze prawie zupełnie pusta, rozmowa moja z dziwnym starcem toczyła się bez przeszkód. Kelner usiadł w kącie sali i zakrył się gazetą. Nie było niepotrzebnych świadków.

„Moja historja jest niezwykle bolesna, straszna, jest koszmarem mego życia, zaczął „zegarmistrz". Byłem kiedyś zamożnym człowiekiem, toteż chciałem mego syna wychować jak najlepiej. Żona umarła wkrótce po jego urodzeniu, ja sam więc miałem decydować o wychowaniu i o kierunku, które miano mu nadać. Kochałem syna bezgranicznie: widziałem w nim nietylko pięknego, miłego chłopaka, o wielkich zdolnościach, ale też portret mej żony. A poza tem, jak pan wie, każdy ojciec chciałby, aby jego syn był lepszy, mądrzejszy, bardziej zdolny i przedsiębiorczy od niego samego. Kochamy tak poniekąd samych siebie w naszych dzieciach, i mówiąc lub myśląc o tych dzieciach, właściwie myślimy o sobie w nowem, innem nieco wydaniu. Tak też było ze mną: chciałem, aby mój syn stał się wielkim, wybitnym człowiekiem, aby świat o nim mówił i aby przyniósł chlubę mnie i naszemu nazwisku. Ja byłem kiedyś studentem uniwersytetu i studjowałem prawo. Niestety nie skończyłem go: była to moja wina, bo nie chciałem czy nie umiałem się tem zająć tak jak trzeba. Wolałem rozrywki, zabawy, towarzystwo kolegów jak suchą naukę. I choć w życiu nigdy nie brakowało mi pieniędzy, choć byłem właściwie człowiekiem raczej zamożnym, miałem duży dom na jednej z głównych ulic, to jednak owe niezdane egzaminy, owa porażka, jakiej doznałem na studjach, wyrobiła we mnie zastarzały ból i urazę do całego świata. A może była to tylko uraza do samego siebie? Możliwe, w każdym razie wstydziłem się tego, że gdyby nie mój dom, to właściwie byłbym człowiekiem, żyjącym na marginesie życia, człowiekiem, który zeszedł z drogi właściwej i pęta się po świecie niewiadomo bardzo poco. Oczywiście, że myśli te tembardziej się we mnie spotęgowały, gdy mój syn miał wybrać sobie drogę, po której pójdzie w przyszłości. Syn mój miał upodobania artystyczne: w gimnazjum pięknie rysował, pisywał wiersze i chwalono go za różne wypracowania. Ale ja nie wierzyłem w trwałość takiego talentu. Myślałem sobie, że to są rzeczy niegodne uwagi, że takimi talentami nigdy daleko się nie zajdzie, że takiego człowieka nie będą ludzie brali poważnie. Widziałem natomiast mego syna jako ukończonego prawnika w służbie państwowej, jako znanego adwokata, posła do sejmu, dygnitarza, ministra. Takie stanowisko mogło dać i jemu i mnie dużą satysfakcję. Po pewnej dość gwałtownej rozmowie z moim synem zapisał się, zmuszony przezemnie, na prawo. Widziałem jednak od początku, że chodzi na wykłady z niechęcią, że ta nauka nic go nie obchodzi, natomiast każdą wolną chwilę używa jedynie na pisanie jakichś ar-

tykułów, wierszy czy sztuk scenicznych. Starałem się mu to wyperswadować: on, równie uparty jak ja, oponował z całą gwałtownością, twierdząc, że ma prawo czynić to, co mu robi szczerą przyjemność i, że jeżeli się poświęcił dla moich fanaberyj, to nie myśli zupełnie rezygnować z literatury, do której czuje taki pociąg.

Nasze rozmowy stawały się coraz to bardziej gwałtowne i przykre. Wytworzyła się już między nami ta przepaść, jaka niestety, dzieli jedną generację od drugiej, obaj straciliśmy właściwy sposób mówienia do siebie i coraz bardziej uważaliśmy siebie za dwie zasadnicze wrogie sobie jednostki, nie mogące się nigdy porozumieć, a najwyżej zwyciężać lub ulec jedna drugiej. — Wkrótce widywałem mego syna coraz rzadziej. Chodził gdzieś wieczorami, znikał na całe noce, a gdy zapytany o tak niewłaściwy tryb życia, odpowiadał, że nie potrzebuje mi zdawać sprawy z swych postępków. Żal i złość wzrastały we mnie do ostatecznych granic. Widziałem przecież w mym synu moją nadzieję, życzyłem mu jak najlepiej, byłbym tyle dla niego poświęcił, a on mnie nie chciał zrozumieć i upierał się przy swem egoistycznem stanowisku. Och, gdybym wtedy umiał z nim pomówić szczerze, po ludzku, nie jak srogi ojciec z synem, ale jak starszy przyjaciel z młodszym, gdybym był wtedy przypomniał sobie, że różnica wieku takie powoduje zmiany, których ktoś inny nie zdołał zrozumieć. Niestety, począłem uważać mego syna coraz bardziej za wroga i zakałę mego życia. Wytworzyła się paradoksalna sytuacja: dbałem o tego wroga pieczołowicie, byłbym mu we wszystkiem pomógł, a równocześnie bolał mnie każdy objaw jego samodzielności.

Wkońcu przyszedł egzamin na drugim roku prawa. Mój syn, jak zauważyłem, nie przygotowywał się wcale do egzaminów, chociaż pytałem go o nie kilkakrotnie. — Twierdził, że jest przygotowany i, że nie potrzebuje żadnych „powtórek". Przeczuwałem coś niedobrego, ale nie zdawałem sobie sprawy z dalszych konsekwencyj. Pewnego razu wrócił późnem popołudniem do domu i usiadłszy naprzeciwko mnie na krześle, ujął mnie za rękę i cichym, żałosnym i drżącym głosem zaczął mówić:

„Papo" — rzekł, patrząc w moje oczy badawczo i prosząco, nie zdałem egzaminów, bo nie byłem przygotowany. Ale nie gniewaj się: musisz zrozumieć, że ja tego, czego się uczę, nie znoszę, że mnie to nudzi, że nigdy nie będę prawnikiem i nie chcę nim być. Ciekawi mnie literatura, mam już napisanych sporo niezłych rzeczy, wydrukowano mi kilka artykułów i chcę być literatem". Mówił to tak naiwnie mimo swych 20 lat, że na chwilę mnie to wzruszyło. Ale wnet ogarnęła mnie złość i posypały się twarde, złe słowa. „Ja cię błagam — mówił dalej mój syn — nie zmuszaj mnie do tych studjów: nie będę nigdy tym, kim chcesz, abym był, natomiast przyrzekam ci na mój honor, że nie powstydzisz się mnie, o ile pozwolisz mi rozwinąć skrzydła. Piszę teraz sztukę sceniczną: może będzie słaba, ale druga będzie lepsza, a trzecia zupełnie dobra i stanę się znany w całym kraju. Ja kocham sztukę i literaturę, wiem, że mam talent w tym kierunku i, że dojdę do czegoś". Nazwałem go wyrodnym synem, darmozjadem, histerykiem. Nasza rozmowa stawała się coraz gwałtowniejsza: wkońcu chłopak wypadł z pokoju i nie wrócił aż następnego dnia rano.

„Panie sędzio, gdy dziś przypominam sobie te wszystkie rzeczy, te słowa, ten wyraz twarzy mego chłopca, chciałbym nieomal napisać na ten temat książkę, aby ostrzec ojców przed podobnem postępowaniem. Ale cóż, wtedy nie byłem jeszcze pouczony przez życie, nie wiedziałem, jak trzeba postępować. Chcąc więc ukrócić swawolę mego syna, oświadczyłem mu tegoż dnia, że cofam mu wszystkie drobne pieniężne kwoty, które dawałem mu, że będzie musiał postarać się o jakąś posadę, bo nie zamierzam utrzymywać próżniaka, któremu po głowie chodzą głupie mrzonki.

Widziałem, że chłopak był coraz bardziej roztrzęsiony i nerwowy. Unikał mego spojrzenia, przestał do mnie wogóle mówić. Pewnego razu wszedł rano do mego sypialnego pokoju: było dosyć wcześnie, to też zdziwiłem się jego zjawieniu. — Oświadczył mi, że zamierza opuścić mój dom i szukać szczęścia na własną rękę. Ze łzami w oczach skarżył się na moje postępowanie. Nakoniec rzekł: „Jedyna rzecz, jaka mi pozostała na świecie, to moja ukochana Marylka, z którą się ożenię i wtedy naprawdę będę mógł zupełnie o tobie, ojcze, zapomnieć". Ta wiadomość spadła jak grom z jasnego nieba: wiedziałem wprawdzie, że ma jakąś znajomą, którą jest zajęty, ale nie sądziłem, że chłopak myśli o małżeństwie z młodą, nic nie znaczącą studentką. Tego było mi za wiele: nie pamiętam gwałtowniejszej rozmowy jak ta, która rozegrała się wtedy między nami. Powiedziałem mu, że teraz jest mi już wszystko jedno, że może sobie iść, gdzie chce, może się mnie wyprzeć, ale ja też wykreślam go z mej pamięci. Syn mój, doprowadzony do ostateczności i w tonie, jaki przybierają młodzi ludzie w tym wieku, chcąc wykazać swoją odwagę i męską decyzję, zakończył swoją rozmowę temi słowami: „Jeżeli, ojcze, do godziny 10 wieczór nie namyślisz się i nie cofniesz twych gróźb, jeżeli nie zechcesz pozwolić na moje małżeństwo, jeżeli jednem słowem nie zrewidujesz twego stanowiska wobec mnie i nie zaniechasz zmuszania mnie do karjery, która mi jest wstrętną i nie pozwolisz, abym poszedł moją własną drogą, wtedy, ojcze, choć wiem, że ci zrobię wielką przykrość, odbiorę sobie życie. Wiedz, że nie jestem niedołęgą ani mazgajem i umiem po męsku postąpić. Chcę z tobą być w zgodzie, ale nadewszystko cenię moje własne zdanie, tem więcej, że wiem, iż jest słuszne. Czekam na odpowiedź do godziny dziesiątej".

Chwila ta była straszna dla mnie: groźby syna uważałem za przechwałki młodzika, ale bądź co bądź przeraziłem się jego stanem podniecenia. Ale widzi pan, człowiek nigdy niestety nie umie wniknąć w serce drugiego, zawsze ma przed sobą tylko swoje własne rozumowanie, swoje poglądy, swoje nawyczki. Zdawało mi się, że bronię w tej chwili autorytetu rodziców wogóle, że jestem szlachetnym szermierzem porządku społecznego i że nie należy ustąpić pod żadnym warunkiem. Zaciąłem się. „Musi ustąpić ojcu" pomyślałem, „tego tylko brakowało, aby głupi chłopak chciał przewodzić nad ojcem".

Dałem mu odpowiedź twardą, nieubłaganą, jaką tylko zaślepiony człowiek dać może. Syn mój porwał się z krzesła jak oparzony i wybiegł z pokoju. „Trudno" — pomyślałem, a dzisiaj wiem, że sam szatan podszepnął mi te słowa.

Była godzina piąta popołudniu. Zdenerwowany chodziłem po pokoju i choć miałem na mieście różne sprawy do załatwienia, nie wychodziłem z domu. Słowa chłopca prześladowały mnie. Nie wierzyłem im, ale nie dawały mi spokoju. Godzina mijała za godziną. Wkońcu poszedłem do mego gabinetu, zamknąłem się na klucz, jakby bojąc się czyjegoś wtargnięcia. Któż miał mi przeszkadzać? Nie wiedziałem. Właściwie chciałem się, bezwiednie może, odgrodzić od świata, od ulicy, od domów, z których mogła przyjść straszna wieść. Gdy się zbliżała godzina dziewiąta, począłem niespokojnie spoglądać na telefon. Nie było w mojem życiu chwili, w której bardziej bym był znienawidził ten wynalazek naszego wieku. Wstawałem z fotela, chodziłem po pokoju, chciałem do kogoś dzwonić po pomoc, błagać, aby się zajęto mym chłopcem, aby go odszukano, ale zaraz potem upór, głupia duma ojca, który uważa się za wyrocznię dla swych dzieci, dławiła ten pierwszy mądrzejszy popęd.

Na zegarze ściennym, który — jak mi się zdawało — szedł z dziwną tym razem powagą, tykając głucho, zbliżała się godzina dziesiąta. Raz po raz zamierało mi serce, tchu mi poczęło brakować w płucach. Męczyłem się jak potępieniec, ale nie mogłem poprostu już ruszyć się z miejsca, zbyt byłem wyczerpany tą walką. Gdy o godzinie punkt dziesiątej zaczął zegar bić dziesięć uderzeń, chwyciłem się biurka, jakbym miał się przewrócić. Co się mogło dziać teraz ze Stasiem? Ale wnet przyszła mi do głowy pocieszająca myśl, której chwyciłem się kurczowo. „Pewnie siedzi z kolegami w kawiarni i opowiada, jak nabrał ojca, i jaką mu zrobił awanturę". Jeszcze przemyśliwałem całą scenę, jeszcze starałem się wyobrazić sobie jego wyraz twarzy, gdy zadzwonił telefon. Zdrętwiałem: przez chwilę nie mogłem wyciągnąć ręki po słuchawkę. Gdy przytknąłem ją do ucha, odezwał się urzędowy, obojętny głos nieznajomego człowieka. Dzwoniono z Pogotowia Ratunkowego i donoszono mi, że Staś w mieszkaniu swego przyjaciela i kolegi strzelił sobie z rewolweru w usta. Śmierć nastąpiła natychmiast. Proszono mnie, abym niezwłocznie przyjechał do trupa mego syna.

Od tego dnia, proszę pana, przeszło lat dziesięć. Postarzałem się, zgarbiłem, zdziwaczałem. Co dzisiaj dla mnie przedstawia za wartość życie? Żadne! Chodzę tutaj do kawiarni, aby mieć jakiś codzienny zwykły cel: przeczytać kilka gazet, z których nie wiele rozumiem, bo nie rozporządzam potrzebną uwagą i napięciem myśli, popatrzeć na ludzi, trochę zapomnieć o tem wszystkiem. Ale czyż można zapomnieć? Czyż codziennie nie odnawia się rana, którą sam sobie i jemu zadałem? Czytuję wszystkie notatki o samobójstwach, jakby chcąc się pocieszyć, jakby szukając rozwiązania tej ponurej tragedji mego życia. Ale cóż, żadne samobójstwo nie jest podobne do tego, które popełnił mój syn, mój jedyny syn, którego ja sam, z własnej woli, ze złego serca wysłałem na tamten świat. Nie, nie wysłałem na tamten świat, a poprostu zabiłem! Tak, zabiłem!"

Gdy słuchałem opowieści „zegarmistrza", miałem dziwne uczucie: zdawało mi się, że widzę wszystkie po sobie następujące sceny, a biorę udział w życiu tych dwóch ludzi. Zagadnienie samo w sobie było trudne: tyleż można o tem powiedzieć, tyle napisać na temat wychowania swych dzieci, jak należy się z nimi obchodzić, jak trzeba wskazywać im właściwą drogę w życiu, że podczas opowiadania wiele uwag cisnęło mi się na usta. Starzec trząsł się, jak w febrze: oczy miał nieprzytomne, ręce mu drżały, łzy spływały po policzkach. Zrobiło mi się go bardzo żal: ale cóż żal może tu pomóc? Dramat pozostał między nim samym a jego sumieniem. Jak było go pocieszać? Nie widziałem na to żadnego sposobu.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, ja i dziwny ojciec. Wkońcu odezwał się: „Wiem, że niczego nie naprawię, że nic się nie odstanie, ale chciałem w drobnej części okupić moją winę: zgłaszam się panu jako sędziemu, oskarżając się o zbrodnię, może niezamierzoną, ale w każdym razie spowodowaną przezemnie. Niech pan wskaże mi drogę urzędową, abym mógł zadośćuczynić sprawiedliwości". Spojrzałem na „zegarmistrza": z krańcowego zdenerwowania przeszedł w stan zupełnego odrętwienia i spokoju. Oczy miał nieomal radosne, w ręku trzymał zegarek i badał z dziecinną ciekawością bieg wskazówek. Zauważyłem, że zbliżała się godzina dziesiąta. Wtedy dopiero zrozumiałem, że mimo logiczności i sposobu opowiadania jego, „zegarmistrz" dawno już postradał zdrowe zmysły.

Oto, panowie, mała opowieść, która wstrząsnęła mem pojęciem o dobrem i złem, tkwiącem w człowieku, bo „zegarmistrz" przecież nie był zbrodniarzem, a miał życie ludzkie na sumieniu.

CZY PANI TO JUŻ ROZSTRZYGNĘŁA?



I. W kapeluszu?

Dlaczegóżby nie. Tembardziej, że w tym roku pod nazwą kapelusza rozumiemy nietylko nakrycie głowy służące nam dla rzeczywistego jej okrycia, ale i różne zabawne i czarujące fantazje z piór, koronki, tiulu, kwiatów i wstążek, mające na względzie jedynie estetykę, a ignorujące kompletnie wszełkie wymogi praktyczne. Kapelusz taki ani nie osłania głowy, ani tembardziej nie grzeje. — Ale zato można go nosić do sukni wieczorowej, w teatrze, na koncercie, w restauracji i na sali dancingowej. Harmonizuje z najstrojniejszą nawet tualetą i stanowi jej nieodzowne niemal wykończenie.

Zdradza przytem wyraźnie tendencje anachroniczne i żywo nieraz przypomina „stroiki" naszych prababek i babek. Jest pełen wdzięku i lekkości, kokieteryjny i śmiały. Przypatrzmy się naszej ilustracji.



Do sukni popołudniowej z lamy, piękna pani wkłada takie małe „coś“ z dumnie sterczącym pióropuszem ze strusich piór. Czyż nie jest jej w tem do twarzy? (str. 25).

2. Czy w woalce?

Może być i woalka, szczególnie jeśli chodzi o strojne wieczorowe tualety. Jedno jest tylko niemożliwe: pokazywać się z gołą (względnie nie przyozdobioną) głową. Sama fryzura, choćby najkunsztowniejsza, nie wystarczy. Do tualety halowej, przy której strojny nawet kapelusik byłby nieodpowiedni, nosimy hiszpańskie mantyle z koronek lub powiewne hinduskie „sari“ z jedwabnej gazy lub cieniutkiej lamy, tiulowe welony narzucone lekko na włosy, lub fantazyjnie na nich upięte. — W najgorszym razie wepniemy we włosy kilka malutkich kokardek z czarnej aksamitki, jakiegoś ptaszka z piór, ‚aigretkę“ z rajerków lub strusie pióra, kwiaty albo ruloniki z lamy. Tegoroczna dewiza mody brzmi: szanująca się kobieta nie występuje nigdzie i nigdy z „gołą głową“.

3. Duży dekolt?

Panie, szczycące się szczególnie pięknemi plecami i ramionami, odpowiedzą skwapliwie: „tak!“ Dlaczegóż mają ukrywać tak piękny szczegół urody, jakim są prawdziwie piękne plecy o nieskazitelnej linji i karnacji? Pani Moda dopuszcza wciąż jeszcze suknie, wycięte z tyłu aż do pasa niemal, jak ta oryginalna tualeta z ciężkiej mory, ozdobiona najmodniejszą dziś baskiną o skośnie ściętej linji (na str. 27).

Ale duży dekolt nie musi odsłaniać właśnie pleców. Dzisiejsza moda lansuje przedewszystkiem wycięcia, wzorowane na modzie z czasów Winterhaltera i cesarzowej Eugenji. Odsłania ono szyję i ramiona, spadając nisko, aż do nasady biustu. Wymaga ładnej i nieco spadzistej linji ramion, nie wskazane jest również dla kobiet zbyt szczupłych.

Te ostatnie odpowiedzą na pytanie

4. Czy mały dekolt?

skwapliwie: „tak!“ I dowodzi to, że kobiety mają sporo zmysłu krytycznego i poczucia estetycznego. — Na śmiałe i duże dekolty pozwalać sobie bowiem mogą tylko kobiety specjalnie piękne i harmonijnie zbudowane, o gładkich, „toczonych“ ramionach i delikatnej karnacji. A dzisiejsza epoka kuracji odchudzających, djet surówkowych i nadmiernie uprawianych sportów naogół tym właśnie walorom nie sprzyja. Dlatego moda przewidziała możność przysłonięcia tych za chudych lub zbyt muskularnych ramion skromnym, niedużym dekoltem, wyciętym raz w formie sercowatej, to znów sięgającym niemal pod samą szyję. A czyż wygląda to mniej strojnie i ładnie? Napewno nie!

Lady Like.



3.
DUŻY DEKOLT?...



4. ...CZY TEŻ



MAŁY DEKOLT?

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA „RIZOTTO". Z porąbanych kości cielęcych oraz włoszczyzny wygotowuje się rosół. 10 dkg ryżu, wymytego zimną wodą, praży się przez chwilę na ogniu, następnie zalewa rosołem i gotuje na sypko. Ryż należy przemierzyć (10 dkg zmieści się do niedużej filiżanki), rosołu brać należy dwa razy tyle, wtedy ryż będzie należycie sypki. Łyżkę masła i tyleż mąki zagotowuje się, mieszając, dosypuje 5 dkg tartego parmezanu i smaży przez chwilę na kraju blachy, gdyż łatwo się przypala, poczem dodaje się dwie łyżki marmolady pomidorowej, dodaje też w międzyczasie ugotowany ryż, łyżeczkę soli i cukru oraz resztę rosołu. Zupę gotuje się powoli przez pół godziny, podprawia wkońcu 1/4 l gęstej śmietany i wydaje bez żadnych dodatków.

MISECZKI Z KIEŁBASY (na życzenie Czyt.). Grubą, tzw. paryską kiełbasę, myje się ciepłą wodą i wyciera czystą ściereczką. Nie obierając z łupki, kraje się ją w cienkie, równe (nie skośne) plastry, grubości grzbietu noża. Na patelni rozgrzewa się smalec wieprzowy, lub topione sklarowane masło, układa na piecu krążki kiełbasy i smaży przez chwilę tylko z jednej strony. W trakcie smażenia łupka ściąga się, tworząc z krążków kiełbasy miseczki, które się wyjmuje na półmisek i nakłada jajecznicą, duszonym szpinakiem, lub purée grochowem. Dodatek stanowić mogą grzanki z bułki lub tarte albo smażone ziemniaczki.

ZAJĘCZA LUB SARNIA PIECZEŃ SIEKANA. Surowe mięsa z jednego zająca, obrane z kości lub też 1 kg sarniny, 20 dkg tłustej wieprzowiny i dwie małe bułeczki rozmoczone i wyciśnięte z wody, przemiela się dwa razy, dodaje pół łyżeczki miałko zmielonych korzeni, tj. białego pieprzu, angielskiego ziela, 1 goździk i troszkę imbieru, łyżeczkę soli i 2 jaja; mięso miesza się przez dłuższą chwilę, tj. 10—15 minut, następnie wykłada się je na deskę, posypaną tartym chlebem, formuje z niego podłużny kształt combra, szpikuje go słoninką, układa na maśle w brytwance i piecze przy częstem polewaniu masłem z pod pieczeni, około godzinę. Na dopieczeniu posypuje się pieczeń pokrajaną w krążki cebulą, polewa masłem i piecze dalej aż się cebula zrumieni. Przestudzoną na półmisku pieczeń kraje się w plastry, na brytwankę zaś wlewa się szklankę śmietany rozkłuconej z łyżeczką mąki i zagotowuje. Sos ten podaje się osobno w sosjerce. Pieczeń okłada się makaronem włoskim lub ryżem.

SAŁATKA W SOSIE HOLENDERSKIM. Dodatki do tej taniej a doskonałej sałatki, nadającej się do każdego mięsa ciepłego lub zimnego, stanowią: 10 dkg ugotowanej fasolki sałatkowej, 3 średniej wielkości gotowane ziemniaki, ogórek kiszony lub kilka korniszonów, wszystko drobno pokrajane, łyżeczka siekanej cebulki lub szczypiórku oraz sos. Ten ostatni sporządza się w następujący sposób: Do garnuszka półlitrowego wybija się całe jaje, dodaje pół szklanki rosołu lub rozpuszczonego w wodzie buljonu, pół łyżeczki soli i cukru, 4 łyżki octu i tyleż oliwy. Wszystko ubija się aż do zgęstnienia naprzód na zimno, potem na ogniu, wstawiwszy garnuszek do naczynia z gorącą wodą, nie dopuszczając jednak do zagotowania, aby się sos nie „zwarzył". Do odstawionego z ognia gorącego sosu dodaje się łyżeczkę masła roztartego z sardelką oraz łyżeczkę musztardy, poczem miesza się go dokładnie z wymienionymi poprzednio dodatkami. Sałatkę posypaną po wierzchu siekaną pietruszką lub szczypiórkiem, przygotować należy conajmniej na godzinę przed podaniem.

SZARLOTKA Z CZERSTWEJ STRUCLI Z JABŁKAMI (na życzenie Czyteln.). Okrągłą gładką formę (może też być rondel odpowiedniej wielkości) smaruje się masłem i wykłada spód oraz boki formy podłużnemi krajankami strucli w ten sposób, aby jedna na drugą zachodziła. Krajanki należy poprzednio osmażyć w maśle na grzanki. Osobno dusi się 1 kg obłupanych i cienko pokrajanych jabłek, z cukrem i łyżką masła deserowego, bez dodatku wody na gęstą marmoladę, którą się miesza z paru łyżkami marmolady morelowej lub pomarańczowej oraz 3—4 dkg rodzynków, obranych i wymytych. Masę nakłada się do formy wyłożonej grzankami, nakrywa z wierzchu również kilku grzankami, nakrywa natłuszczonym papierem i wstawia na pół godziny do gorącego piecyka. Z formy wykłada się legominę po częściowem ostudzeniu, aby ją uchronić przed rozsypaniem.

LEGOMINA Z SUSZONYCH ŚLIWEK. Filiżankę mleka, 10 dkg mąki, 1 jaje i 1 żółtko, łyżkę roztopionego masła, szczyptę soli, łyżkę cukru i 2 łyżki octu lub wina, ubija się na gęste, tzw. lane ciasto. W razie potrzeby dolewa się mleka, wzgl. dosypuje mąki, której ilości nie można dokładnie określić. 25 dkg śliwek bośniackich wymywa się w ciepłej wodzie, nalewa zimną i pozostawia w niej przez noc. Z osączonych na sicie śliwek wyjmuje się pestki i wkłada na ich miejsce ćwierć orzecha, poczem macza się śliwki w cieście, rzuca na wrzące masło i osmaża z obu stron. Podaje się suto posypane cukrem z cynamonem.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

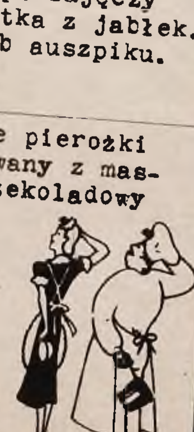
Wszelkie jarzyny liściaste — jak sałata, szpinak czy szczaw — wymagają bardzo starannego płókania zanim przystąpimy do ich przyprawiania. — Obok zreprodukowany koszyczek z nierdzewiejącego drutu ułatwia nam pracę: wkładamy do niego daną jarzynę i płóczemy w naczyniu z wodą.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 5 — **Styczeń** — Dni 31
Niedziela **29** Franciszka Salez.	Zupa oxtail. Omlety z pieczarkami. Polędwica wieprzowa z kapustą. Tort Savarin. Kolacja: Szynka z sałatką fasolkową.
Poniedziałek **30** Martyny, Adelaj.	Rosół z krajaną kaszką. Sztuka mięsa z ćwikłą. Mostek cielęcy z marchewką. Śliwki w cieście. Kolacja: Płucka cielęce w sosie cytrynowym.
Wtorek **31** Piotra z Nol.	Zupa jarzynowa purée z grzankami. Salsefia z bułeczką i masłem. Pieczeń huzarska z buraczkami. Kompot z surowych owoców. Kolacja: Miseczki kiełbasiane z jajecznicą.
	Luty
Środa **1** Ignacego b.	Zupa z zielonego groszku /z puszki/. Kotleciki jarskie z pomidorowym sosem. Zrazy siekane z kaszą tatarczaną. Biszkopt z mleczkiem waniljowem. Kolacja: Ryż z zielonym groszkiem.
Czwartek **2** NPM. Gromn.	Zupa "rizotto" z parmezanem. Przystawka z grzybków na muszelkach. Klops zajęczy lub sarni z makaronem. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Zając w majonezie lub auszpiku.
Piątek **3** Błażeja bisk.	Zupa rybna z grzybkiem. Ruskie pierożki z śmietaną. Łosoś morski gotowany z masłem i ziemniaczkami. Kisiel czekoladowy z kremem. Kolacja: Rolmopsy domowe.
Sobota **4** Weroniki	Zupa "Julienne". Szpinak w omletach. Wędzony karczek wieprzowy z purée grochowem. Kompot mieszany Kolacja: Gołąbki z ryżu w kapuście.





HOCKI-KLOCKI

SCENA MAŁŻEŃSKA.



— Sam siebie nie mogę zrozumieć, jak mogłem przed naszem małżeństwem nie wypróbować twoich zdolności kucharskich... „Esquire".

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KTO NAJSTARSZY?

Janek jest o 3 lata młodszy od Jurka; Józio jest o 5 lat starszy od Janka. — Który z nich jest najstarszy?

STARE MONETY.

Proponujemy Czytelnikom wskazać błąd w poniższem opowiadaniu: „Parę tygodni temu zamożny zbieracz starych monet wyznaczył nagrodę 5000 zł. temu, kto mu w ciągu tygodnia przyniesie najstarszą monetę. Już w pierwszych dniach przyniesiono mu kilkanaście monet, z których najstarsze były z pierwszego wieku A. D. Dopiero ostatniego dnia tygodnia jakiś biednie ubrany człowiek przyniósł mu monetę, która otrzymała nagrodę. Zbieracz zapłacił 5000 zł. za pieniądz grecki z wyrytą datą 430 A. C. N i oświadczył, że jeszcze nigdy przedtem nie spotkał się w swem długiem doświadczeniu z monetą, której pochodzenie byłoby tak definitywnie udowodnione".

5 WORECZKÓW.

Kupiec Detajliński rozdzielił posiadane 100 zł. i włożył je do 5 woreczków. Jakie rachunki (zaokrąglone do 1 zł.) mógł wyrównać, nie wyjmując pieniędzy z żadnego z woreczków i jak rozdzielił te pieniądze, aby

NIEPOROZUMIENIE.



Właściciel restauracji: — Czy panowie chcą siedzieć razem? „Esquire".

CZUŁY MĄŻ.



Mąż do żony w szpitalu: — Wstawaj natychmiast! Właśnie otrzymałem rachunek za twoją kurację... „Esquire".

mógł zapłacić kwoty jaknajbardziej zbliżone do 100 zł?

Rozwiązanie z Nru 4-go.

MARMURY.

Asystent wziął 7 próbek.

SPACER PANA WRÓBLA.

Pan Wróbel szedł 3½ km.

PODRÓŻE PRZYJACIÓŁ.

Staś był o 1650 km od Krakowa, a Henryk tylko 825 km. Karol i Zygmunt mogli być tylko w Rumunji, czyli, że Staś odbył najdłuższą podróż.

ZADANIE SZACHOWE.

1. Wieża c4—h4 szach (!!!). Jest to posunięcie, które każdy rozwiązujący odrzuca z miejsca, jako bezsensowne, a tymczasem... g5 bije h4 szach,
2. król g3—f4, g6—g5 szach,
3. król f4—f5, g5—g4,
4. h3 bije g4 mat!

Dla tych czytelników, którzy nie widzieli diagramu podajemy pierwotny układ: k.g3, w.c4, pion h3, czarne k.h5, piony g6, g5, h6.

Dokończenie ze str. 2-ej.

— Wtedy jemu, panu Janowi, do rąk własnych, adresowanych do tamtego. Przeczytał zaraz i powiedział...

— Co?

— Powiedział: konie.

— Łatwo się domyśleć.

— Nie orjentowałem się, co można z tego wywnioskować. Następnego dnia wyjeżdżałem. Na stacji czekały konie z Kaliny. Do bryczki siadł młodzieniec w akademickiej czapce.

Wyspiański namyślał się.

— To był jego syn.

— Czyj?

— Zmarłego.

Powiedział to tonem tak pewnym siebie, jak gdyby cała historja życia i ci trzej ludzie byli mu oddawna znani. I mówił, wobec mego zdziwienia, tonem podszytym nutą lekkiej ironji.

— Ona umarła. Matka tego syna nieślubnego. Umarła, albo wyszła zamąż. Pan wie, „gdy na dziewczynę zawołają żono, już ją żywcem pogrzebiono". Chłopca wzięła jej rodzina, ale jego, ojca, nie chciała widzieć na oczy. On, kochanek, był tutaj postacią jedyną i tragiczną. Ten drugi był tylko cieniem, jak Horacio jest cieniem Hamleta. Tymczasem gdy chłopiec dorósł, trzeba mu było powiedzieć prawdę. Kto musiał mu ją powiedzieć? Ojciec. Duch jego widziany podczas gry w szachy, wracał jak duch zamku Makbeta. Czekał chwili, kiedy jego syn przyjedzie. Był wieczór. Zbliżała się pora zwykłej partji szachów.

Wypowiedziane to było zniżonym tonem. Tajemniczo.

Można było wystraszyć lub śmiać się.

Poeta też śmiał się wesół, poczem rzekł, napół poważnie, napół żartem.

— Mamy sztukę.

— Tytuł?

— Szachy.

Już świtało na niebie.

Wracaliśmy z wędrówki. Odprowadzałem poetę do domu.

— Niech pan napisze.

Rozstaliśmy się.

— Szkoda — pożałował — że nie umiem grać w szachy, a to tutaj byłoby koniecznie potrzebne.

Sztuki tej, „Szachy", nie napisał. Nie wiem, może napisał i zniszczył. Tak jak skrypt misterjum „Kłamcy", który rozpoczął jeszcze w Paryżu, i kilka razy na nowo zaczynał pisać w Krakowie i Tenczynku.

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

WARSZAWA. Teatr Narodowy wystawił „Grube ryby" Michała Bałuckiego w reżyserji Zelwerowicza, który nie zawsze trzymał się tradycyjnej interpretacji. Sam zagrał Onufrego Ciaputkiewicza. Z dużą dozą humoru wcielił się Leszczyński w rolę Wistowskiego. Stanisławski odtworzył postać Pagatowicza. Z innych wykonawców trzeba wymienić pp. Dulębę, Żeliską, Kurylukówną, Brydzińskiego, Mileckiego i Fritschego.

W Teatrze Kameralnym zaprezentowano farsę Karola Laufsa pt. „Dom warjatów", w reżyserji E. Chaberskiego. — Dobrą sylwetkę stworzyła p. Różańska, pozatem wyróżnili się: Sielański, Bartówna, Karwowska i Radojewska.

WILNO. Teatr Miejski w Wilnie wystawił obecnie sztukę znanej artystki dramatycznej i literatki Walentyny Aleksandrowiczowej pt. „Jej syn". Ten dramat 4-aktowy grany był w ub. sezonie w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie i tu zdobył sobie powszechne uznanie krytyki. Wielkiem powodzeniem cieszy się i w Wilnie. Sztuka przygotowana została reżysersko przez dyr. Pobóg-Kielanowskiego a główną rolę Matki objęła znakomita artystka Nuna MłodziejowskaSzczurkiewiczowa. Świetnie rolę Staszka zagrał St. Jaśkiewicz, doskonale ponadto gra cały zespół z Haliną Łęcka, W. Szczepańską, Haliną Buyno, Nawrocką, Martyką i Tatarskim na czele. Przedstawienie „Jej syna", to nowa, dużej miary pozycja artystyczna w pracy Teatru na Pohulance w Wilnie. **J.**

NOWE KSIĄŻKI

E. Schmeidlerowa: „Kalendarz miłości". Księgarnia F. Hoesicka — Warszawa. „Czy wiesz, jaka była przyczyna! — Przyczyna była kwietniowa! — Kwietniowa, majowa, czerwcowa, fjołkowa, różowa i bzowa. Czy wiesz, jakie kochanie było! Lipcem świat cały spaliło. Dopiero sierpień z rogatem czołem zasypał płomień gwiezdnym popiołem". Takim wierszem zaczyna się ten tomik poezyj, będący hymnem na cześć miłości, ale hymnem wyśpiewanym poprostu i szczerze, bez pozy i napuszoności, nieraz w słowach prostych, o zwrotce prawie banalnej. Przez tę prostotę właśnie, w której widać jednak dobre opanowanie wiersza i znajomość władania prostotą jako dobrym wyrazem poezji, wiersze te mają duży urok. Są one zresztą typowo „kobiece", ale nastrój szczerości i niejednokrotnie pewnej śmiałości, nadaje im ton nieco odrębny. Nawet w wierszach nieco luźniej związanych z egotyczną erotyką, przepływa ten sam prąd. Motto tych wierszy mogłoby brzmieć słowami poetki: „...i miłość powoli zamieni się w wiersze". Jej zaś rolę w dziedzinie poezji, jej może dalszą w tym kierunku drogę określa najlepiej również jej własna zwrotka: — „Rozorana miłością jak wiosenną burzą — sobie śpiewam, a muzom. Za oknem w męce bez się rumieni i sobie kwitnie a ziemi". **W. Z.**

„Silva Rerum". Kraków. Pierwsze trzy numery miesięcznika „Silva Rerum", który zaczął znowu po długiej przerwie wychodzić, kontynuują godnie piękną tradycję dawniejszych publikacyj, stając na równie wysokim poziomie, tak pod względem tekstowym, jak i graficznym. Pierwsze dwa numery, które tworzą jeden zeszyt, przynoszą liczne ciekawe artykuły poświęcone kulturze bibljofilskiej, omawiają rzadkie i ciekawe sztychy, exlibrisy, placówki bibljofilskie w kraju i zagranicą itd. Znów, po wielu latach, nawiązujemy z wielką rzeczpospolitą miłośników książki bliski kontakt, znów czujemy się podniesieni na duchu, dowiadując się, że cała armja bibjofilów gotowa jest snuć dalej rozpoczęte dzieło. Bez zarzutu wykonane ilustracje dopełniają pięknej całości. Numer trzeci wydawnictwa poświęcony jest bibljofilstwu XVIII wieku. Mowa tam więc o Stanisławie Auguście i jego pięknej bibljotece oraz superexlibrisach, przesuwa się na kartach zeszytu sylwetka wielkiego Naruszewicza, ciekawi nas artykuł o drukarni Gröbla i przywileju drukarskim, jaki uzyskał od króla Stasia, a poza temi artykułami dowiadujemy się wielu ciekawych szczegółów o zagranicznych wydawnictwach i exlibrisach, o zagranicznych Polonicach itd. I tu ilustracje nie pozostawiają nic do życzenia. Nowo rozpoczęta publikacja wywiązuje się, jak dotychczas, wzorowo ze swych zadań: chodziłoby teraz tylko o to, aby i społeczeństwo z nich się wywiązało, popierając odpowienio ten ze wszech miar godny poparcia kulturalny miesięcznik. **JGM.**

„Wycieczka na tęczę". M. Bontempelli. Książnica-Atlas. Dobrze zrobiła Książnica-Atlas, wydając „wybór nowel" znanego, wybitnego pisarza włoskiego, Massimo Bontempellego pt. „Wycieczka na tęczę" (w przekładzie p. Z. Norblin-Chrzanowskiej).

Na tom złożyły się utwory, zaczerpnięte z następujących zbiorów nowel autora: „Siedmiu mędrców", „Życie wytężone", „Życie czynne", „Podróże i odkrycia", „Pani mych marzeń", „Kobieta w słońcu i inne idylle" oraz „Galerja niewolników". Już to wyliczenie (nie obejmujące całej twórczości Bontempellego) świadczy o obfitym dorobku nowelistycznym włoskiego akademika.

Opowiadania, zawarte w tomie „Wycieczka na tęczę" są różnorodne, jeśli idzie o tematykę, czy ujęcie literackie. Wspólną ich cechą jest ironja, z jaką autor traktuje swoich bohaterów, umieszczając ich w nieraz w osobliwych sytuacjach życiowych. Bontempelli próbuje też doprowadzić do absurdu jakąś maksymę filozoficzną, jak np. w noweli o „Złotym środku", aby skończyć rzecz nieoczekiwaną woltą.

O „czysty absurd" ocierają się takie opowiadania, jak „Florestan i klucze", „Dusza ludzka w barze", „Kobieta w słońcu" albo tytułowa „Wycieczka na tęczę". A przecież ów „Florestan i klucze" zawiera sporo dowcipnych obserwacyj. To samo trzeba powiedzieć o „Ukojeniu w filozofji", „Istocie wolności", „Żądzy władzy", „Szczęściu matki" czy „Charakterze Rumy": we wszystkich tych utworach zdradza autor spojrzenie ironisty, miłośnika nieoczekiwanych skojarzeń i paradoksalnych sytuacyj. **J.**

POLSKIEGO RADJA NAJLEPSZE AUDYCJE

Niedziela, dnia 29 stycznia.

9.15 Transm. nabożeństwa z kościoła św. Katarzyny w Toruniu.
12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa.
16.35 Roman Palester: „Pieśni Ziemi Krakowskiej" — koncert.
17.30 Miljonowy abonent Polskiego Radja.
17.45 „Wieczna tęsknota" — operetka F. Grothego.
21.20 Muzyka taneczna z Poznania.

Poniedziałek dn. 30 stycznia.

15.00 Słuchowisko dla młodzieży „Między ziemią a księżycem" w/g opowiadania Wandy Grodzińskiej.
16.35 Utwory wiolonczelowe w wykonaniu Tadeusza Kowalskiego.
17.15 „Złoto jest czarne" (pieśni poszukiwaczy złota" — audycja muzyczno-słowna.
21.00 Recital fortepianowy Józefa Turczyńskiego.
22.00 Dzieje symfonji — audycja muz.-słowna.

Wtorek dn. 31 stycznia.

16.30 Pieśni północnych Indji amerykańskich — koncert.
17.05 Utwory fortepianowe na 4 ręce.
18.55 Przemówienie ks. biskupa Józefa Gawliny z okazji Tygodnia Propagandy Trzeźwości.
21.00 Koncert symfoniczny z Katowic.
22.20 Muzyka taneczna.

Środa dn. 1 lutego.

16.35 Recital śpiewaczy Gabrjeli Filip de Rocha — sopran.
18.40 Dyskutujmy: „Nakazy konwenansu i nakazy dobrego wychowania".
21.00 Opowieść o Szopenie.
22.00 „Folklor różnych narodów: Jugosławja".
22.35 Muzyka taneczna.

Czwartek dn. 2 lutego.

9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie.
12.03 Poranek muzyczny z Torunia.
17.00 Premjera słuchowiska St. Wasylewskiego.
19.30 Muzyka taneczna.
20.15 „F. I. S.": „Co się dzieje w Zakopanem" — reportaż.
21.00 „Verbum nobile" — opera Moniuszki. Transmisja z Teatru Wielkiego w Warszawie.
22.15 Muzyka taneczna.

Piątek dn. 3 lutego.

16.35 Recital skrzypcowy Stanisława Mikuszewskiego.
17.15 Z zapomnianych pieśni.
18.30 Teatr Wyobraźni: „Rupiecie" w/g M. Rodziewiczówny.
19.10 Koncert rozrywkowy z Łodzi.
21.00 Edward Grieg: „Olaf Trygvason" (z Wilna).
22.00 „Krokusy" — gawęda podhalańska.
22.20 Muzyka taneczna z płyt.

Sobota dn. 4 lutego.

16.35 Jan Sebastjan Bach: „Kantata Dominica post Nativitatem Christi".
17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie.
19.00 „F. I. S." Transm. z łyżw. mistrzostw świata.
21.00 „Przy sobocie po robocie" — koncert z YMCA.
23.15 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1